

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY

ROK IX. KWIECIEŃ 1933. NR. 8.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Jan Parandowski: **Dysk Olimpijski** (Gebethner i Wolff).

Gdy w szkole uczycie się, drogie czytelniczki, historji starożytnej Grecji, często zapewne wydaje się wam ona daleka, martwa i sucha. A jednak ta właśnie dawna Grecja to kolebka naszej dzisiejszej sztuki, kultury i literatury — i nie można zgłębić zagadnień kultury współczesnej, nie zapoznawszy się gruntownie z życiem dawnych Aten, Sparty i Teb. Taki klucz do poznania życia greckiego w całem jego pięknie i prawdzie przynosi wam dzisiaj znakomity pisarz Jan Parandowski w swej książce „Dysk Olimpijski". Dysk Olimpijski to rodzaj powieści, opowiadającej szczegółowo przebieg 76 Olimpjady greckiej. W barwnych obrazach, kreślonych cudownym językiem Parandowskiego, przesuwają się przed zachwyconym czytelnikiem naprzód długie i mozolne ćwiczenia greckiej młodzieży, mającej stanąć do Olimpijskich zawodów. Ćwiczą się młodzi Grecy w bieganiu, w skokach, w rzucaniu dyskiem i oszczepem, w walkach zapaśniczych, w powożeniu wyścigowemi rumakami, zaprzężonemi do ozdobnych kwadryg. Potem w Olimpji, zapełnionej tysiącznemi tłumami, stają do zawodów liczne drużyny. Razem z tymi widzami przechodzi czytelnik niezmierne emocje, do czyich rąk dostanie się zaszczytny a tak bardzo upragniony laur. Ileż analogji z dzisiejszemi sportami, zawodami i olimpjadami znajdzie w tych opisach młodzież, jakżeż będzie ją zajmować historja jej poprzedników i protoplastów na sportowych boiskach.

Ale Parandowski w swej książce nie zajmuje się jedynie samą techniką igrzysk; jego horyzonty są o wiele szersze: daje on nam w swej powieści genjalny i przepiękny skrót całej greckiej historji, daje wierny i wspaniały obraz greckiego życia, obyczaju, charakteru, religji i sztuki. Tutaj poznajemy to znane nam z suchych podręczników życie greckie w jego najpełniejszej, najbardziej fascynującej formie. Przenosimy się do malowniczych gajów Olimpji, widzimy żółtym piaskiem wysypane stadjony, współżyjemy z ówczesnymi ludźmi, patrzymy na świat ich oczyma, myślimy ich pojęciami, czujemy ich wrażeniami. Martwy świat antyczny nabiera żywego kształtu, tętni krwią, pulsuje życiem. Zapoznanie się z Grecją przez książkę Parandowskiego to nie nauka i praca, to pełen czaru sen, to urocze przeniesienie się w świat wiekiem tysiąca lat stary, a jednak duchem piękna, sztuki a nawet sportu do dziś dnia młody i żywy, do dziś dnia stale się w naszem życiu i kulturze odradzający... *Zofja Starowieyska-Morstinowa.*

Seweryn Udziela, **Kraków w podaniach i legendach.** Bibljoteczka Orbis, Kraków 1933.

Zasłużony serdeczny miłośnik krakowskiej tradycji i krakowskiego ludu ma dziwny sposób przedstawiania legend, podań oplatających różne miejsca, budowle i zwyczaje Krakowa — pod jego piórem legenda nie jest czemś martwem, lecz niby wciąż żywa i aktualna lekka zasłona oplata zabytki przeszłości, dodając do ich obecnego, dostrzegalnego dla oka bytowania coś z bytowania ich dziwnego — jako dopełnienie istotnej ich treści. *I. M.*

Jerzy Marlicz: **Łowcy przygód.** (Wyd. św. Wojciecha).

Lubicie zapewne błądzić po puszczach niedostępnych, podpatrywać ich tajemnicze życie, gonić okiem za mknącym lekko po bagnach Karibu, lub patrzeć na bawiące się pod groźnem okiem mamy grizli niedźwiadki! To wszystko znajdziecie w prosto i ładnie pisanej książce Marlicza Książka ta dziwnie przypomina powieści Curwooda i jest nawet dalszym ciągiem niedokończonej przez niego trylogji, której dwie pierwsze części wyszły p. t. „Łowcy wilków" i „Łowcy złota". Ale choć fabuła nawiązana jest zgrabnie do fabuł powieści Curwooda, stanowi jednak w sobie zamkniętą całość. Opowiada historję dwóch młodych ludzi i dwóch młodych dziewcząt, którzy wśród przygód w dzikiej puszczy doświadczają swoich sił i zręczności, a także znajdują miłość. To połączenie wdzięcznego romansu dwóch młodych par z opisem groźnych przygód czyhających na ich życie stanowi o wielkiem zainteresowaniu, jakie książka Marlicza wzbudzi na pewno wśród młodych czytelników.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

ROZWÓJ GOSPODARCZY I TERYTORJALNY KRAKOWA, W OSTATNICH LATACH

Mimo głębokiej depresji rozwój życia gospodarczego miasta Krakowa nietylko nie został zahamowany, ale odbywa się nawet w przyspieszonem tempie. Idzie on w rozmaitych kierunkach.

Na peryferjach Wielkiego Krakowa na Olszy, Nowej Wsi, Dębnikach, Zwierzyńcu i błoniach powstają nowe, wspaniałe dzielnice „miasta — ogrody". Obok nich zjawiają się reprezentacyjne, nowoczesne gmachy Akademji Górniczej, Śląskiego seminarjum dla kleryków, Dom wycieczkowy, domy Zakładu pensyjnego, domy profesorów, domy akademików i gimnazjum S. S. Urszulanek. Z powstaniem nowych dzielnic nastąpił rozwój sieci komunikacyjnej i kanalizacyjnej. Przeprowadzono ponadto regulację Rudawy i Białuchy. Zyskano w ten sposób nowe tereny, a przez obniżenie wody gruntowej podniesiono stan zdrowotny tych odcinków miasta. Ze względu na wzmożone zapotrzebowania rozbudowano sieć i zakłady elektryczne. Elektrownię krakowską zasila miejska elektrownia z Jaworzna. Rozszerzono i nowocześnie urządzono gazownię miejską. Wybudowano dalekotłocznie i rurociąg wysokoprężny, ponadto nowe zbiorniki wodne i rurociągi. Ulepszono i rozbudowano sieć telefoniczną. Inne zakłady przemysłowe, dawniej już istniejące, rozszerzono lub udoskonalono. Przez rozbudowę dworca kolejowego, linji kolejowej do Miechowa (w budowie), pięknej szosy do Ojcowa, dworca autobusowego, uzyskali mieszkańcy możność szybkiego, sprawnego i bezpiecznego komunikowania się z podmiejskiemi osadami i letniskami.

Wskutek ułatwionej i dobrze zorganizowanej komunikacji wzmógł się nadzwyczajnie ruch turystyczny. Przyczyni się do tego zapewne również i piękny, nowowybudowany dom wycieczkowy.

Dr. J. Pr.

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY

ROK IX. KRAKÓW, KWIECIEŃ 1933 NR. 8.

KRAKÓW.

JALU KUREK.

KRAKÓW I WIOSNA

(Epistoła sezonowa).

Już się temu nie da zaprzeczyć. Już się tego nie da nie widzieć. Idzie zewsząd, z powietrza, z ziemi, od domów, od drzew pośpieszny oddech ciepła i świeżości. Ogarnia ludzi i zdobywa świat.

Piszę to do młodego pokolenia. Ta wiosna przyszła w czasie ciężkim i smutnym. Zapamiętajcie sobie tę porę, gdyż ona jedna jest niezmienna w nieuniknionym porządku klimatycznym, któremu podlega ziemia.

Długo chodziłem po zieleniejących plantach, upojony płynącym po powietrzu zapachem, aż nagle stanąłem, aby sobie lepiej uprzytomnić myśl:

— Wiosna.

O tem wam trzeba napisać. Choć poco właściwie pisać, kiedy czuje się ją wszystkiemi fibrami ciała, kiedy nie możemy się jej gwałtownie opędzić? Ale jeśli o tem nie napiszę, gdzież znajdę temat bliższy i równie ważny?

Jest to coś, co podnosi zwykłą radość zmysłową do wyżyn mistycznej kontemplacji. Wiosna jest świętem energji, śpiewu, przestrzeni i radości. Jak kaznodzieja kieruję w waszą stronę nieśmiertelny apel: Wraz z tym wspaniałym renesansem przyrody, który dokonywuje się co roku na wiosnę, powinno przyjść doroczne odrodzenie ducha. Słońce, niebo, drzewa, kwiaty, ciepło — to wszystko wlewa w nasze żyły nową wolę, świeży sok optymizmu. Może dlatego tak trafnie wybiera się ten okres na czas rekolekcyj. Wiosna sprzyja podniesieniu serc. Co roku oglądamy z zachwytem ten wzbierający cud przyrody, tę tryskającą fontannę życia.

Oglądam i ja Kraków, cały rozbłyskany w słońcu. Ta wiosna niesie pewne obowiązki. Nietylko jasne i lekkie ubranie. Narzuca uśmiech, spojrzenie szersze i jaśniejsze, wzmożoną żywość, serdeczność, wysokie napięcie duchowe, elastyczność zewnętrzną.

Jakże tu nie biec radośnie po Krakowie, który znamy z dziecinnych igraszek? Jakże witać te suche, wyzłocone blaskiem ulice, przyjmujące w siebie śpiewny, rytmiczny krok młodego pokolenia?

Widzicie — to jest Kraków. Dziecięca melodja donów, śmigła strzelistość kościołów i przyjemna świeżość plantacyj.

W myśl haseł nowoczesnych młodzież byłaby skłonna potępić tradycję. Kraków jest miastem muzeów, bibljotek, miastem o twarzy odwróconej wstecz, a młodzież jest armją, wstępującą w przyszłość.

Ale nauczcie się ostrożnie obserwować nowe piękno miasta. Za pierścieniem plant, w którym chował się gród średniowieczny, — wyrasta śmiała architektura domów, prosty pion ulic, odważny plan urbanizmu, wykreślający celowe i skupione perspektywy Krakowa.

Chcę ocieplić w waszych uczuciach i myślach Kraków na wiosnę, Kraków maszerujący w przyszłość, miasto, które

będzie waszem miastem. W tradycję Wawelu i Kraka, owianą kurzem starożytnych podań, wtapiacie już teraz codziennie ćwierćmiljonowy ośrodek, po którym biegacie z książkami pod pachą.

W murach miasta nurzacie wasze wielokierunkowe wysiłki. To miasto jest stare, ale i piękne.

Pismo, w którem piszę to, nazywa się „Dziś i Jutro". Dziewczynki kochane — jesteście jutrem. Albowiem jutro Kraków roztoczy ku wam potrzebujące ramiona i wchłonie was w wielopiętrowy ruch domów, w ocieploną gęstwinę uczynków, zdarzeń i wypadków. Dziś rozglądacie się po mieście, jak dzieci, które się jeszcze dużo nauczą, ale jutro obejmie was w posiadanie życie. Nie jest to refleksja maturyczna, — ale to jest wiosna, która tchnie ciepłem i przypomina wam równinę życia działającą i smakowitą w ustach, która już czeka na waszą młodość zdrową sposobną i śmiałą.

JÓZEF ALEKSANDER GAŁUSZKA.

G A Z E C I A R Z

Z pod linotypów, z paszcz rotacyjnych
maszyn,
z pod zgrzebnych palców, które ołów zżarł
co dnia się rodzą w miljonach egzemplarzy
miast dusze w łamach szeleszczących kart -
Wilgotne jeszcze od drukarskiej czerni
o stu tytułach krzyczących z nad szpalt
z pod bram redakcji o świcie codziennie
wzlatują piętki - jednodniówki w świat
„Kur-j-e-e-r!" — grzmi „Kur-j-e-e-r!"
w ulice półpuste
w bosym tupecie zabłoconych nóg
Biegną — grzmi „Kur-j-e-e-r!" w zadyszanych ustach
pędem we dwójkę — kto pierwszy — na róg!
Wiszą na stopniach huczących tramwajów
z pytaniem w geście dygocących rąk
wpadają w nudę rozespanych kawiarń,
między krzesłami wirując jak bąk
Pisma — pisemka — dzienniki stołeczne
ni okwiat sadów upadają w tłum,
jak radość kartek drżących na powietrzu
ze samolotu spływających w dół
Z biur telegrafów i iskrowych anten
zmiecione wieści od biegunów wszerz
po nerwach kablów mknące przez
Atlantyk,
falami w niebo słane z radjo — wież —
Tłuste tytuły ostatnich sensacyj,
repertuary teatrów i kin
i dział ogłoszeń: „Poszukuję pracy...
Pies... numer marki... Auto... Handel win."
A tamci brudni rozkrzyczeni malcy,
z trudem liczący biedniuteńki zysk,
precz odrzuceni, jak z nerwowych palców
wypadłe świstki przeczytanych pism —
W śliskich rynsztokach, na targowych
placach
leżą splamione strzępy martwych kart
W nory przedmieścia cień skulony wraca:
nędzarz-bosonóg owinięty w wiatr
Aż dnia pewnego z gazet wielkim drukiem
spadnie na miasto sensacyjna wieść:
„...znany fabrykant.... chłopcu z rogu
Długiej...
...cały majątek... i miljonów sześć!!!
I w ten dzień właśnie pod cmentarnym
murem,
notarjusz, kołnierz podniósłszy na deszcz,
na małą trumnę sensacyjny „Kurjer".
niby klepsydry położy na wierzch

W. W.

JAK PRACUJE STACJA RADJOWA

Panowie z Polskiego Radja, Rozgłośni Krakowskiej, opowiadali mi wielokrotnie, że bezustannie ktoś ze znajomych czy nawet prawie nieznajomych, pyta ich się:

— Jak to właściwie z tem waszem radjem? Co się tam robi, czy dzieje, że nam do domu do detektora czy lampowego aparatu przysyłacie zdaleka to, co się u was mówi, śpiewa czy gra? Powiadali mi przy tem, że to ich trochę niepokoi, chcieliby odpowiedzieć, ale się boją, że taki, co dokładnie nie zna techniki, fizyki i tym podobnych szykan, nie będzie tego mógł pojąć. Zwalili zatem obowiązek odpowiadania na innych. Taką ofiarą jestem w tej chwili ja, bo choć także się boję, chciałbym o tem opowiedzieć — ale tak, żeby nikogo dalej nie przestraszyć. Wobec tego to, co opowiem, będzie bardzo niegłębokie i nieuczone, ale do uczonego opowiadania trzebaby trochę wyuczonych już słuchaczy, a na tym punkcie możnaby się posprzeczać, kto nim jest, a kto nie! Zaczynamy.

Idziemy sobie na ulicę Basztową pod l. 9 na parter i pukamy grzecznie do drzwi z prośbą o zwiedzenie. Tam są wszyscy bardzo grzeczni, a my za to będziemy widzieli pierwszą część stacji nadawczej zwaną »Studjo«, gdzie ci, co mają być słyszeni, mówią, grają czy śpiewają. Pytamy się, czy to już jest radjo! Dopiero po wprowadzeniu nas do miłego, ładnego pokoiku, w którym na stole stoi jakiś blok marmurowy, zawieszony w osadzie na sprężynach, mówią nam: tu się zaczyna radjo! Tu mianowicie jest mikrofon, do którego się mówi. Śpiewa się lub gra przed innym mikrofonem w dużej sali, ale tam jest to samo właściwie — co tu. Mikrofon znamy wszyscy, a przedewszystkiem ci, u których w domu jest telefon, jest to bowiem ta część słuchawki telefonicznej, do której się mówi, tylko że tu trochę mocniej zbudowana i lepsza niż w prostej słuchawce. Pamiętajmy, że to, co mówimy, śpiewamy, gramy, są to ogromnie zawiłe zespoły tonów *akustycznych*. Dla mikrofonu są to jednak tylko drgania rytmiczne powietrza,



Wieże stacji nadawczej

które pobudzają jego błonkę do analogicznych drgań. On się na to zgadza, ale je natychmiast tłumaczy, a mianowicie ma zupełnie podobne w rytmie i nasileniu drgania prądu elektrycznego, które po drutach z niego wychodzących mają odejść dalej.

Gdzie? Otóż, mają one zalecieć aż do właściwej stacji nadawczej »na Bastjonie«, niedaleko Kopca Kościuszki przy ulicy Malczewskiego. Są to jednak drgania bardzo słabiutkie, a po drodze w drutach łatwo się męczą i gasną. Trzebaby je na drogę wzmocnić i zasilić. Dlatego też druty od mikrofonu idą do dalszej części rozgłośni przy ulicy Basztowej, do pokoju zwanego *amplifikatornią.* Doszły one tam wreszcie, ale tu uznano je za niegodne i za słabe do ruszenia w dalszą drogę. Przetłumaczono je i to kilkakrotnie na drgania również elektryczne,



Mownica — Studjo. Nadawanie płyt gramofonowych.

zupełnie, o ile można, wiernie,ale na drganie mocniejsze. W tym celu znajdowały się tam wzmaczniacze lampowe, które były właściwie biurami tłumaczeń na coraz to dobitniejszy język. Ostatnie tłumaczenie uznano za dość silne do samodzielnej podróży na Bastjon. Do tej chwili wszystko to zupełnie podobne do zwykłego telefonowania. Takie tłumaczenia »od lampy do lampy« sporządza również i urząd telefoniczny, o ile telefonujemy do dalszych miejscowości. Ale stacja na Bastjonie postanowiła je puścić w daleki świat, »do wszystkich«, jak sygnalizują czasem telegrafiści, bardzo oryginalną metodą. Przedewszystkiem dziwną dlatego, że od tej chwili podziękowano drutom za ich łaskawą służbę, a posyłać zamierzają »bez drutu«. Do tej chwili druty były niejako dla tych drgań wózkiem, który je wiózł aż do Bastjonu.

Stacja musiała przygotować inny gatunek wehikułu. Dlatego też jeszcze przed rozpoczęciem się audycyj, stacja zapaliła swe *lampy nadawcze* (bardzo są duże, mnóstwo pieniędzy kosztują i ogromnie przy nich ciepło!) i zaczęła, jak mówią inżynierowie, promieniować w świat swą *falę nośną*. Co się tam w tych lampach, cewkach, kondensatorach dzieje, to się dzieje, ale z tego wszystkiego stacja rzuca w świat już od tej chwili swą *falę elektromagnetyczną* ze swej *anteny*. To znaczy, że stara się cały świat rozkołysać w jednostajny takt drgań niewidocznych, jednocześnie elektrycznych i magnetycznych.

Podobne to całkiem do tego, jakgdyby ktoś zaświecił światło i rzucał w dal fale *świetlne*. Ba! Nawet natura fal świetlnych jest też elektromagnetyczna, jak nas tego nauczył Maxwell, tylko że *radjowe* fale nie są tak często drgające. Naprz. Kraków posyła w świat drgania (fali *nośnej)*, które wahają się około 1,000.000 razy na sekundę, podczas gdy ten, co naprz. zaświecił czerwone światło, wysyła w świat takich drgań prawie 400 miljonów miljonów (400 biljonów) w sekundzie. Do rzucenia tych fal w świat i wyzwolenia ich ze stacji służy *antena*, ją to trzeba rozkołysać elektromagnetycznie, a ona już dalej w świat przekaże swe drgania. Teraz uwaga! Ze stacji na Basztowej przychodzą tłumaczenia elektryczne tego, co tam do mikrofonu mówiono. Urządzenia zbudowane głównie z lamp radjowych, przetłumaczyły je znowu tym razem na drgania elektromagnetyczne, zupełnie podobne do drgań fali nośnej,



Amplifikatornia.

tylko że bardzo skomplikowane, bo odpowiadające możliwie wiernie skomplikowanym tonom i dźwiękom przejętym przez mikrofon. Prócz tego ich częstości są w stosunku do fali nośnej niewielkie — Wahają się w granicach od 50 do 8000 na sekundę. W lampach radjowych zwanych modulatorami, pomieszano nowe drgania z temi, które jako fala nośna mają ruszyć w świat. Gdyby oko ludzkie mogło je widzieć, stanowiłyby one, na gęsto i drobno drgającej fali nośnej, jakgdyby rzeźbę bogato ukształtowaną, ornament — zwany *modulacją*.

Fala ta, drobno i bardzo często drgająca, jest dla nich wehikułem, który ma wszelkie szanse do zajechania, bez zmęczenia, bez pochłonięcia (a takie pochłaniacze fali czekają ją po drodze, choćby np. nasza poczciwa stara ziemia!) podczas, gdy one, wolno stosunkowo drgające, nie zaszłyby daleko.

Tak tedy razem, wesoło, rozegrane, rozdzwonione wszelkiemi głosami, których są tłumaczeniem, wędrują wraz z falą nośną hen, daleko, daleko. Naprzeciw nim wychodzą już nie wrogowie, lecz anteny i aparaty odbiorcze tych, którzy każą im się nanowo przetłumaczyć w śpiew, grę, muzykę, czy słowa poezji lub słowa mądrej nauki. Jak się to drugie tłumaczenie odbywa, może już innym razem.



Stacja nadawcza.

PO CZABAŃSKIM GOŚCIŃCU

Poprzez równię i lasy, traktem płowym, szerokim,
jak wędrują po niebie gnuśne stada, obłoki,
poprzez leśną nowinę, popod sosen złotomiedź,
byle uciec, przejechać, nie pamiętać, zapomnieć.

Wiatr zapadnie w głąb puszczy, jak ostatnie westchnienie,
którem drzewa przeszumią, nachylone ku ziemi,
potem wróci zdaleka, świadom losu i doli,
skrzypną koła u wozu śród piaszczystych wyboin ...

Aż zakręci się droga, to nad łąki, ku stawom,
ślad zagubi, niewiada, czyli w lewo, czy w prawo,
tak powiedzie bezpański a czabański gościniec,
aż się wszystko uciszy, w mroku zgubi, zaginie.

Staną konie gdzieś same, w jakieś derby się rzucą,
i przesiekiem, naprzełaj, tam, skąd wyszły, powrócą,
nad gościńcem zgubionym lelek czasem przeleci,
aż noc gwiezdna jak siostra wyjdzie bratu naprzeciw.

Tadeusz Szantzoch.

SEWERYN UDZIELA

ZWYCZAJE WIELKANOCNE U LUDU KRAKOWSKIEGO

Na wiosnę, w porze pełnej uroków natury i radości wszelkiego stworzenia, obchodzi Kościół Katolicki święta Zmartwychwstania Chrystusa.

Lud nasz z utęsknieniem wygląda ich nadejścia, a gdy się zbliżają, z pobożnością i skupieniem ducha wykonuje wszystkie praktyki kościelne, płacze nad Jezusem męczonym i ukrzyżowanym, raduje się z Jego zmartwychwstania i z głębi duszy woła: Alleluja! Alleluja!

Ale chociaż całe serce zostawia wieśniak przy swoim Odkupicielu, chociaż cała istota jego z niekłamanem uczuciem religijnem rwie się do świątyni Pańskiej i bierze udział gorący w nabożeństwach wielkotygodniowych, przecież nie zapomina przy tem o nędzy i strapieniach życia ziemskiego. Więc stara się nietylko modlitwą zjednać błogosławieństwo Boże dla chaty i rodziny, dla dobytku, roli i ogrodu, ale wykonywaniem pewnych praktyk, pewnych obrzędów dopomóc niejako Stwórcy do zniszczenia i wytępienia złego na ziemi. Stąd w czasie uroczystości wielkanocnych spotykamy u ludu naszego wiele zwyczajów ciekawych, obrzędów oryginalnych, nie mających związku żadnego z praktykami religijnemi Kościoła katolickiego.

Uroczystości i zwyczaje wielkanocne rozpoczynają się już w *niedzielę Palmową.* Z pierwszych objawów nowego życia, z wiosennych pączków srebrzących się na gałązkach wierzbiny, dodawszy parę lśniąco szarych kitek trzciny rzecznej, wiąże lud *palmę,* zwaną także *bagnięciem* i niesie ją do kościoła do poświęcenia, bo palma taka posiada wiele mocy cudownej; z niej robione krzyżyki, zatkane w *kalenicę* strzechy, chronią dom od uderzenia piorunu, a zatknięte na niwie odwracają od niej chmury gradowe. Palma, umieszczona w oknie, odpędza złe duchy, zostawiona w stajni, zabezpiecza bydło od chorób. Z palmą święconą biegają biedne dzieci po domach, zapowiadając koniec postu i prosząc o datki.

Dziwne rzeczy dzieją się także w ten dzień za wsią, na pustkowiach, w lasach, w odludnych miejscach. Oto w czasie czy-



Wiemy, że pierwotny człowiek zamieszkiwał jaskinie, wiemy, że w Chinach tysiące ludzi żyje w mieszkaniach, wykopanych w pokładach lessu, ale czy wiemy, że mamy i u nas w Polsce jaskiniowców XX w.?

Fotografja załączona przedstawia wyzyskanie jednej z grot Ojcowa na dom mieszkalny. Zyskuje się przytem na budulcu, na oryginalności, lecz z pewnością nie na higjenie mieszkania.

Fot. dr. Leszczycki.

tania ewangelji w niedzielę Palmową otwierają się i pokazują wszystkie skarby zaklęte, pozostające w mocy siły nieczystej, gdyż wtenczas wszyscy czarci muszą iść do kościoła słuchać ewangelji o męce Chrystusa, pozostawiając skarby bez straży. Szczęśliwy, kto na skarb taki natrafi. Może brać pełną garścią złoto i srebro, ile uniesie, byle tylko uwinął się z tem rychło i uszedł cało, zanim skończy się czytanie ewangelji, bo wtedy czart wróci i zamknie na cały rok drzwi od skarbnicy.

Razu pewnego kobieta, mieszkająca pod lasem, została w Niedzielę Palmową sama w domu z rocznem dziecięciem, podczas gdy inni domownicy udali się do kościoła. Dzień był ciepły, wiosenny, słońce świeciło jasno, więc matka wzięła dziecko na rękę, dała mu jabłko czerwone, starannie przechowywane od jesieni i wyszła z niem w pole, aby nacieszyć się dniem pięknym, odetchnąć pełną piersią powietrzem wiosennem. Gdy tak idzie z dzieckiem na ręku — a było to dziecko jedyne, ukochane, oczko w głowie u matusi — gdy je zabawia, pokazując to kwiatek wychylający nieśmiało główkę z pod skiby, to skowronka, dzwoniącego w powietrzu piosenkę Matce Bożej, nagle spostrzega przed sobą w polu pod lasem, niedaleko od chałupy otwartą jamę w ziemi, której przedtem nie zauważyła nigdy, a w jamie tej połyskujące w słońcu talary białe i złote dukaty. A była tego moc wielka, bogactwo straszne, ino brać, a brać. Kobieta, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, sadza dziecko na złocie, a sama zgarnia szybko, jak może, to w zanadrze, to do zapaski, a oczy aż się jej świecą z chciwości i radości wielkiej. Już dosyć, już się więcej nie zmieści, bo pieniądze przesypują się poza obrąbek fartucha i z brzękiem staczają się napowrót do jamy. Kobieta chce powstać, jedną ręką trzymając róg pełnej zapaski, a drugą dźwigając dziecko, ale daremnie — wszystkiego udźwignąć nie zdoła. Złoto i srebro tak ciężkie, że nawet tego, co nabrała, nie może podnieść oburącz. Cóż tu robić? Zostawić tyle skarbów, kiedy w chacie nie bogato, a przednowek już zagląda? Namyśliła się szybko. »Niema innej rady, chata blisko, można skarby przenieść potrosze«. Więc zebrała w zapaskę tyle, ile tylko unieść zdołała, dziecko bawiące się jabłkiem, posadziła na skarbach, a sama co tchu skoczyła do chaty, wysypała pieniądze do skrzyni i zdyszana, zmęczona ciężarem i pośpiechem wróciła po dziecko i po pie-

Któż z nas nie zna słynnego benedyktyńskiego opactwa z Sienkiewiczowskich „Krzyżaków". Dziś z tego najstarszego na ziemiach polskich opactwa z XI—XII wieku pozostały jedynie malownicze ruiny.

Fot. dr. Leszczycki.



niądze, gdyby się jeszcze coś wziąć dało. Niestety, zapóźno! Po przeczytaniu ewangelji w kościele czart wrócił do skarbów, zawarł jaskinię wraz z dzieckiem tak, że ślad po niem nie pozostał na ziemi. Któż zdoła opisać rozpacz matki, jej płacz i narzekanie, gdy wróciwszy, nie ujrzała więcej dziecka, gdy nawet nie mogła trafić w to miejsce, na którem była przed chwilą! Rozdzierający głos jej, nawołującej dziecko, napełnił powietrze, ale maleństwo nie słyszało pewnie głosu tego. Matka przeklinała chwilę, w której ujrzała skarby, w której schyliła się po pierwszą sztukę złota, ale to nic nie pomogło. nie oddało jej jedynaka ukochanego.

Ludzie, którzy wrócili z kościoła, z przerażeniem dowiedzieli się o nieszczęściu, ale nie zdołali dopomóc matce biednej. Pobiegła po radę do księdza proboszcza. On jeden z rąk czartowskich wyrwie dziecko. Ale kapłan kazał czekać na wybawienie dziecka rok cały.

— Na drugi rok o tym samym czasie idź w niedzielę Palmową na ono miejsce nieszczęsne, a gdy się jama otworzy, nie ruszaj ani grosza, ale zabierz dziecko. Może się Pan Bóg ulituje nad tobą.

W łzach gorzkich upłynął kobiecie rok cały, złoto i srebro zabrane z jamy rozdała między ubogich i na kościoły i z gorączkowym niepokojem wyczekiwała chwili wybawienia dziecka. Jakoż nadeszła nareszcie. Znów piękny dzień zajaśniał w niedzielę Palmową. Kobieta już od świtu wyczekiwała otworzenia się jamy. A gdy ta upragniona chwila przyszła, prysnął czar, rozwarła się ziemia i biedna matka zobaczyła przed sobą dziecko swoje siedzące na kupie złota i bawiące się jabłkiem, jak gdyby je dopiero przed chwilą tam zostawiła. Uszczęśliwiona porwała swój skarb najdroższy i uniosła do domu.

W Wielki Czwartek wieczorem robią parobcy małe krzyżyki z pręci wierzbowych, święconych w niedzielę Palmową i o świcie w Wielki Piątek zatykają je w zagony zoranego pola. Czasem nawet czynią to już zaraz po północy, obiegając pola i kłapiąc kłapaczkami, aby odpędzić złe moce, które mogłyby szkodzić zasiewom. Krzyżyki takie chronią rolę od robactwa, od gradu i zapewniają dobry urodzaj.

W Wielki Piątek gospodynie zasiadają z pośpiechem do robienia masła, do czego wszystko, co potrzeba, przygotowały dnia poprzedniego. Na pośpiechu zależy im wiele, gdyż w dzień ten o świcie wszystkie czarownice także robią masło, a gdyby w tej czynności wyprzedzały gospodynie, toby miały moc nad ich krowami i przez cały rok zabierałyby im mleko. Czarownice takie wybiagają wczas rano w Wielki Piątek na pastwiska, na miedze i wszędzie, gdzie się krowy pasają i zbierają z tych miejsc rosę w przetak, powąski lub zapaski, włócząc je po trawie i powtarzając przy tem słowa, mające moc czarodziejską. »Biorę pożytek, ale nie wszystek!« — Tym sposobem wszystkim krowom, pasącym się tutaj, zabierają mleko dla siebie. Jeżeli taka czarownica zechce potem w czasie popasu bydła we wsi zawiesić na kołku ową zapaskę czy powąskę, w którą zbierała rosę, będzie z niej doić mleko, aż wydoi wszystko. Dopiero, gdy usłyszy ryczenie bydła w sąsiednich stajniach, przestaje doić, bo to jest oznaka, że mleko wydojone, a następnie puściłaby się krew i krowy popadałyby. W niektórych miejscowościach ludzie nawet nie śpią w nocy z czwartku na piątek, aby się nie spóźnić z wykonaniem owych praktyk i nie dać się wyprzedzić czarownicom. Oczekują świtu, obchodząc z latarnią kapliczki przydrożne i śpiewając przy nich »Gorzkie żale«.

Och, te czarownice, ileż one szkody narobią ludziom! Nie dosyć, że krowom odbierają mleko, lub zepsują tak, że się ciągnie, jak klej, albo doi się ze krwią, ale umieją rzucić uroki na krowę i na ludzi, umieją nasłać chorobę, a nawet powolną śmierć sprowadzić. A robią to wszystko przy pomocy czarta, z którym się »pokumały«, od którego nauczyły się wszystkich tych sztuczek. Gdyby to można poznać każdą czarownicę, łatwiej byłoby ustrzec się jej czarów. Ale niestety, mało się one różnią od innych kobiet, nawet chodzą do kościoła. Żadna czarownica nie może jednak obejść kościoła trzy razy wokoło wraz z procesją w czasie rezurekcji w Wielką Sobotę. Idą one na ostatku za procesją, obejdą raz dookoła i wra-



Wieś Mogiła pod Krakowem. *Fot. J. Nowakówna.*

cają do kościoła, albo też wcale z niego nie wychodzą. Trzeba tylko wtedy uważać, które to takie i zapamiętać je sobie dobrze. Są wioski, w których parobcy organizują się w pewnego rodzaju straż i czuwają nad tem, aby wszystkie kobiety wyszły z kościoła na procesję, potem ustawiają się we drzwiach i żadnej nie wpuszczają do kościoła, zanim procesja nie okrąży go trzy razy. W takim razie baby czarownice tracą wiele ze swej mocy.

W Wielką Sobotę rano na cmentarzu kościelnym rozpalają z suchej tarniny ogień do święcenia. Z tego ognia zabierają ludzie niedopalone głowienki i węgielki, które mają moc odpędzania wielu chorób od bydła i od ludzi. Gdzieniegdzie od poświęconego ognia zapalają kobiety hubki i przynoszą żar do domu, od czego rozniecają ogień w piecu piekarskim i przy tym »ogniu świętym« pieką chleb i kołacze świąteczne.

Dziewczęta malują tu i ówdzie jaja, kreślą na nich woskiem rozmaite figury, a następnie gotują w łupinach cebuli, w życie zielonem, lub w trzaskach brezyljowych. Gospodynie przygotowują święcone, składające się z chleba, masła, jaj, kiełbasy, kałacza, chrzanu, słoniny gotowanej lub wędzonki.

Nadeszła wreszcie Niedziela Wielkanocna. Wszystko, co żyje, odświętnie ubrane idzie do kościoła, a po powrocie dzieli się jajem święconem i zajada przysmaki, uważając, aby nie padła gdzie okruszyna. Łupiny z jaj święconych wrzucają między rzędy kapusty, aby jej gąsienice nie jadły; kości z mięsiwa święconego wtykają w rolę, bo to zapobiega mnożeniu się turkuci i innego robactwa w polu. W ten dzień świętują wszyscy w domu, a odwiedzają się dopiero w Poniedziałek Wielkanocny.

To też młodzież już o świcie zrywa się z łóżek, bo każdy chce drugiego oblać wodą »na śpiączku«, a nie dać się wyprzedzić. Ale »śmigust« nie ominie nikogo; parobcy zlewają obficie wodą dziewki, one też starają się nie być im dłużnemi. Trwa to dzień cały, a niekiedy przenosi się i na dni inne. Biedne dzieci już od rana biegają od chaty do chaty »po śmiguście«, a recytując oracje, proszą o jaja, o kawałek kołacza lub kiełbasy. Niektórzy chodzą także z »Ogródkiem«, albo z »Traczykiem«. Jest to deseczka czworoboczna, dookoła ogrodzona, pomalowana zwykle na zielono i ubrana gałązkami zielonemi, wśród czego postawiony jest Baranek z chorągiewką, albo Chrystus Zmartwychwstający. W niektórych miejscowościach w Poniedziałek Wielkanocny chodzą po śmiguście starsze parobczaki i dziewczęta przebrani, z twarzami uczernionemi, trzymając w rękach batogi niekiedy słomiane, czasem prowadząc niedźwiedzia lub kozę. Żartów, śmiechu, bywa przytem co niemiara. Po południu odbywają się wycieczki lub przechadzki w pobliskie miejscowości ulubione, do pobliskich kaplic, lub kościołów, to Emaus. Z Krakowa w dzień pogodny spieszą na Zwierzyniec do klasztoru i na kopiec Kościuszki, a następnego dnia pod kopiec Krakusa, na »rękawkę«.



ZOFJA STAROWIEYSKA-MORSTINOWA.

KRAKOWSKI TEATR



Juljusz Osterwa, dyrektor teatru w Krakowie.

Pisząc o Krakowie, nie sposób nie pisać także o teatrze, tak wielkie i świetne są tu jego tradycje, a także, jak zobaczymy, tak świetnie i żywo zapowiada się i jego przyszłość.

Wprowadzone w tym roku w Krakowie przedstawienia szkolne są wielką innowacją w życiu teatru, a także chyba i bardzo przełomową chwilą w życiu uczącej się młodzieży szkolnej. Wystawiam sobie, co za radość panować musi w klasie, gdy zamiast wykładu, zamiast pisania na tablicy i odpowiadania zadanych lekcyj, idzie klasa do teatru... Ale to udostępnienie młodzieży bywania w teatrze, to nietylko przyjemność, to coś o wiele, wiele więcej. To otworzenie wrót teatru przed młodzieżą szkolną, te zupełnie jeszcze gdzieindziej nieznane przedstawienia szkolne, to w życiu młodzieży a także i w życiu teatru wielki moment.

Teatr, to wielka rzecz, tylko trzeba mu przywrócić jego rzeczywistą i właściwą rolę w życiu; dziś pojęcie teatru trochę się wypaczyło. Co chwilę np. słyszy się takie pytania: Czy dobrze się w teatrze bawiłaś? Czy przedstawienie było zabawne? To zupełnie taksamo, jakby się ktoś zapytał, czy dobrze się bawiłaś, czytając Improwizację Mickiewicza, albo patrząc na obraz Chełmońskiego... Do teatru, do prawdziwego teatru, nie idzie się dla zabawy. Teatr to nie miejsce rozrywki, teatr to świątynia sztuki. Tem był teatr starożytny, tem były średniowieczne misterja. Dziś ludzie w pogoni za zabawą, wśród zaniku zainteresowań sztuką, wśród zobojętnienia dla rzeczy poważnych, odwracają się od prawdziwego teatru i chcą go zastąpić jakimś farsowym jego surogatem. Skutek jest opłakany. Słyszycie zapewne często o t. zw. kryzysie teatru, o tem, że się teatr przeżył, upada i t. d. i nie może być inaczej, gdy się chce świątynię sztuki przerobić na cyrk lub wodewil.

Widzicie, gdy się idzie do prawdziwego teatru, do teatru, w którym ma się słuchać cudnego wiersza Fantazego, lub spiżowych słów Shekspeare'a, lub oglądać tęczowe wizje Wyspiańskiego — to tak, jakby się człowiek na chwilę odgradzał od pospolitości życia, jakby zamykał oczy na całą otaczającą nas szarość dnia powszedniego, na to, aby przeżywać niedzielę życia — poezję — aby się bez reszty pogrążyć w sztuce. Zatrzaskują się bramy teatru, odgradzają nas od gwaru ulicy, znikają z przed naszych oczu ludzie zapracowani, znękani, zatroskani, mali i brzydcy, zostają na zewnątrz czarownego gmachu i nasze własne osobiste troski i drobne sprawy i drobne ambicje. Przed zdumionemi oczyma zaczynają się przesuwać sny i baśnie: grają bohaterskie surmy, śpiewa najbardziej biorąca muzyka — muzyka wiązanego słowa. Dusze ludzkie odkrywają przed nami swe najistotniejsze głębie: patrzymy na ich wielkość i polot, na ich miłości i cierpienia, na ich walki i sny i ideały. Patrzymy na ich wielkość i piękno nie jak na rzeczy obce i dziwne, w duszach naszych ukojonych ciszą i mrokiem zaczynają się budzić i drgać nuty te same, te same upajają nas myśli, te

same w nas zaczynają łopotać tęsknoty i marzenia. Nie rozpraszamy się na setki mało ważnych drobiazgów, poprzez pryzmat sztuki patrzymy wgłąb naszych własnych możliwości, pod kierownictwem największych duchów ludzkości zaczynamy naprawdę widzieć »to, co najważniejsze«. Teatr to nie złuda, która odrywa nas od problemów życia praktycznego, to odcięcie się chwilowe od świata, aby w ciszy i skupieniu patrzeć wgłąb naszych sztuką rozświetlonych dusz, aby dostrzegać szczyty uczuć i myśli, na które wznosili się z pośród nas najwięksi i najszlachetniejsi. Tam w świetle kinkietów widzimy, że »Polska to wielka rzecz«, tam dowiadujemy się, że »trza, żeby święte były«, tam rozumiemy, że w życiu chodzi przedewszystkiem o wielkość duszy, o jej wysoki ton, o jej walkę dla dobra i piękna!...

Tem jest prawdziwy teatr, tem jest dzisiaj teatr w Krakowie, tem jest wasz teatr szkolny. Nie wy zresztą jesteście pierwszą generacją młodzieży, która w teatrze uczy się piękno i poezję kochać i rozumieć. Wszyscy prawie wielcy poeci i wielcy artyści żyli w swej młodości teatrem. Ślicznie opisuje profesor Estreicher, jak razem z Wyspiańskim i Mehofferem patrzyli z miejsc »stojącego parteru« na arcydzieła Shekspeara i Słowackiego, jak każdy zaoszczędzony grosz studencki szedł na teatralny bilet... Dziś tylko teatr chce wam poznanie jego ułatwić, i co więcej, chce was wezwać do współpracy nad odrodzeniem tego prawdziwego wielkiego teatru.

Kraków, który przez tyle lat był kolebką polskiego teatru, skąd na całą Polskę płynęły strumienie ożywcze kultury i sztuki, staje dziś na straży wielkiego teatru, staje do obrony jego wielkich i świętych zadań. Dziś, gdy zewsząd słychać, że kino zabija teatr, że młodzież interesuje się tylko matchami footbalowemi, teatr krakowski protestuje. Kino ze swemi przeważnie tak płytkiemi, sensacyjnemi i sztucznemi historjami może być miłą czasem rozrywką, lecz głodu poezji, głodu piękna nie zaspokoi. Młodzież interesuje się sportem, pręży w wysiłku fizycznym swe zdrowe muskuły, ale dlatego nie jest głucha na głos poezji, dlatego nie odwróci się od sztuki. To też teatr otwiera gościnne swe podwoje dla młodzieży i pokazuje największe swe skarby.

W tegorocznych szkolnych porankach krakowskich widzieliście pełną wdzięku komedję Zabłockiego »Fircyk w załotach«, upajaliście się niezrównanym wierszem Fantazego, czarowała was jedna z najpiękniejszych komedji świata, słoneczny renesansowy »Wieczór trzech króli«. Wzlatywały wasze dusze na najwyższe szczyty natchnienia, gdyście słuchali monologów Konrada w »Wyzwoleniu«, gdyście się zapamiętywali w muzyce Chochoła na Bronowickiem Weselu — poruszały się wasze serca, przeżywając ponurą tragedję Polski i Horsztyńskiego.

I wiem, że przedstawienia te młodzież krakowska oceniła, że z teatru wychodziła zachwycona, przejęta, rozkołysana wielką poezją, z oczyma zapatrzonemi w najwyższe szczyty sztuki, w najwyższe ideały przewódców ludzkości: poetów.

To też, gdy dziś zajmujemy się rozpamiętywaniem świetnej przeszłości Krakowa, gdy patrzymy na klejnoty jego architektury i słuchamy poezji jego legend — nie wolno nam zapomnieć o jego teraźniejszości, nie wolno nie marzyć o wielkiej kulturalnej przyszłości. A wtedy musimy zwrócić oczy na piękny gmach na placu św. Ducha i z radością musimy stwierdzić, że w epoce ogólnego przygnębienia, trosk i szarzyzny — w epoce, w której ludzie skarżą się na zmaterjalizowanie świata, na brak kulturalnych zainteresowań, tam w tych tajemniczych murach — rozkwita najczystszy kwiat sztuki i poezji, tam rozbrzmiewa cudna muzyka polskiej mowy, tam wcielają się najpiękniejsze wizje, najszczytniejsze myśli wieszczów i poetów — tam nawiązuje się nić najszlachetniejszych tradycyj, tam płonie ogień, przy którym zapalają się młode serca i młode myśli do wielkich lotów, do wielkich umiłowań, a także — ufajmy — do wielkich czynów!

Tem jest w dzisiejszym Krakowie teatr, i tem ufajmy dla nas wszystkich — a zwłaszcza dla nas młodych na zawsze pozostanie.

POLSKA AKADEMJA UMIEJĘTNOŚCI

W r. 1816 założone zostało w Krakowie Towarzystwo Naukowe Krakowskie.

Około jego rozwoju wielkie zasługi położył długoletni prezes. dr. Józef Majer, profesor fizjologji i antropologji, jedyny z mistrzów Szkoły Jagiellońskiej, któremu udało się, w czasie jej germanizacji utrzymać na swej katedrze nieprzerwaną tradycję polskiego wykładu.

Wiele też zasług zaskarbił sobie drugi Prezes Towarzystwa, kasztelan Franciszek Wężyk, poeta przedmickiewiczowskiej epoki; jego to zabiegami i ofiarnością stanął ze składek narodowych gmach Towarzystwa Naukowego na ulicy Sławkowskiej, (który po założeniu Polskiej Akademji Umiejętności wraz z całym majątkiem Towarzystwa przeszedł na jej własność).

Z tego Towarzystwa powstała Polska Akademja Umiejętności. Dnia 11 maja 1872 r. odbyły się wybory jej pierwszych 12 członków z grona Towarzystwa Naukowego. Prezesem został Józef Majer a Sekretarzem generalnym Józef Szujski. Tak ukonstytuowana Polska Akademja Umiejętności rozpoczęła swe czynności w dniu 7 maja 1873 r.

Polska Akademja Umiejętności zorganizowana jest w cztery Wydziały: filologiczny, historyczno-filozoficzny, matematyczno-przyrodniczy i lekarski. Wydział lekarski został najpóźniej utworzony, gdyż dopiero w 1930 r.;

Poszczególne Wydziały tworzą wyłącznie członkowie Akademji, pochodzący z wyboru. Dzielą się oni na członków czynnych krajowych i zagranicznych, oraz członków korespondentów krajowych i zagranicznych w ogólnej liczbie 100 członków.

W obrębie każdego Wydziału istnieje szereg komisyj. Składają się one już nie wyłącznie z członków Akademji, lecz także z uczonych, powołanych z poza Akademji.

Obok tych komisyj stałych w łonie poszczególnych Wydziałów, istnieją jeszcze komisje wspólne, złożone z członków różnych Wydziałów i Komitety.

Osobną jednostkę organizacyjną w łonie Akademji stanowią Polskie Komitety Narodowe Unij Międzynarodowych, których celem jest organizacja ścisłej współpracy naukowej Polski z zagranicą, oraz reprezentacja naukowa wobec zagranicy.

Tak przedstawia się organizacja Polskiej Akademji Umiejętności. Cele jej i zadania określa wyraźnie § 5 Statutu. Według niego jest ona sercem, regulującem tętno polskiej pracy naukowej, i mózgiem, koordynującym i wiodącym po świadomie obranym torze polską twórczość naukową.

W dziedzinie działalności naukowej Akademji należy rozróżnić dwie sfery — wewnętrzną, polegającą na odbywaniu posiedzeń naukowych i niejako zewnątrzną, przejawiającą się w działalności wydawniczej.

Nie potrzeba tu chyba wspominać o niezmiernie wielkiej wartości naukowej wydawnictw Polskiej Akademji Umiejętności. Każdy, kto choćby tylko pobieżnie zetknął się z rzeczywistością pracy naukowej, wie dobrze z własnego doświadczenia, iż niemal w każdej dziedzinie zagadnień naukowych trzeba sięgać po literaturę do wydawnictw Akademji.

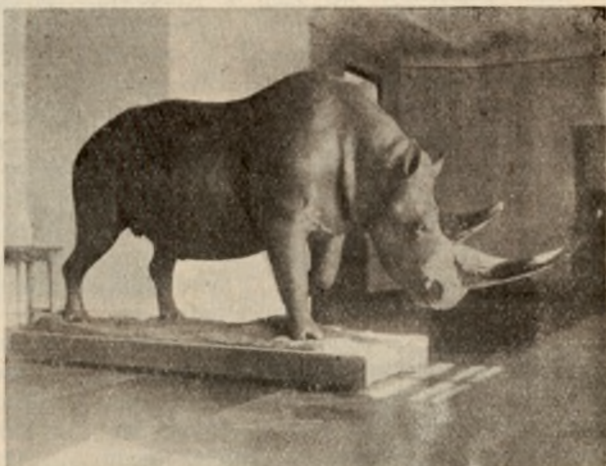
O ile dla spełnienia swoich żądań i dążeń wobec społeczeństwa ma Akademja na usługi swe wydawnictwa, o tyle w stosunku do zagranicy nie zacieśnia się jedynie do współpracy i reprezentacji — z jednej strony pragnie Polakom, przebywającym na studjach poza granicami Polski, przyjść z pomocą w twórczości naukowej, z drugiej zaś stale i możliwie dokładnie i wyczerpująco stara się informować miarodajne czynniki zagraniczne o postępie pracy naukowej w wszelkich dziedzinach w Polsce. Cel ten spełnia przez dwie Stacje naukowe — Stację nanaukową i Bibljotekę Polską w Rzymie, oraz Stację naukową i Bibljotekę Polską w Paryżu. Aby zaś jak najszerzej uprzystępnić polską twórczość naukową licznemu gronu uczonych zagranicznych, wydaje Akademja specjalny Biuletyn wszystkich czterech Wydziałów.

Osobne miejsce w kreśleniu działalności Akademji trzeba poświęcić wymianie wydawnictw w kraju i zagranicą. Wydawnictwa te rozchodzą się na cały świat — poza

Europę do Ameryki, Azji i Australji. Z przeszło 500 instytucjami naukowemi zagranicznemi całego świata pozostaje Akademja w wymianie wydawnictw.

Dla tem sprawniejszego spełniania swych zadań posiada Akademja 3 instytuty: bibljotekę, muzeum archeologiczne i muzeum fizjograficzne. I bibljoteka i muzea służą nietylko celom archiwalno-muzealnym, są przedewszystkiem warsztatem pracy dla uczonych polskich i zagranicznych. Bibljoteka mieści w sobie też dział archiwalny. Obok dzieł naukowych nowych znajdują się tam prawdziwe bibljograficzne rzadkości, białe kruki krajowego i zagranicznego pochodzenia, oraz znaczna ilość dokumentów i rękopisów od wieków średnich, aż do doby niemal współczesnej. Muzeum archeologiczne, zawierające kilkadziesiąt tysięcy okazów, mieści w sobie zabytki, które niejednokrotnie są unikatami nietylko w zbiorach krajowych, ale i zagranicznych. Na szczególne wymienienie zasługuje posąg Światowida, rysunki z epoki paleolitycznej na kości rena i mamuta, największy na całym świecie zbiór ceramiki malowanej neolitycznej — t. zw. ceramika bilczańska, oraz skarb ryżanowski, zawierający srebrne i złote przedmioty pochodzenia scytyjskiego. Niemniej wspaniale przedstawia się muzeum fizjograficzne, posiadające również bezcenne wprost okazy i unikaty, liczące przeszło 700.000 okazów przyrodniczych krajowych i zagranicznych. Dzieli się ono na 3 działy: botaniczny, geologiczny i zoologiczny. W dziale botanicznym należy wymienić największy zielnik roślin europejskich w Polsce, liczący około 200.000 okazów, który jest podstawą pomnikowego wydawnictwa Flora Polska. Wśród roślin kopalnianych znajduje się najwspanialszy na świecie i najlepiej zachowany okaz palmy skamieniałej. W dziale zoologicznym na szczególną uwagę zasługują: największy w Polsce zbiór owadów i motyli, oraz wspaniały zbiór ptaków krajowych, pochodzący z daru znanego ornitologa, hr. Wodzickiego. Wśród zabytków kopalnianych tego działu trzeba wspomnieć o mamucie, nosorożcu, wykopanym w Staruni i niedźwiedziu jaskiniowym.

Nadto stara się Akademja organizować zjazdy naukowe. Ostatni był zjazd z racji 400 rocznicy urodzin Jana Kochanowskiego. Ściągnął on wielu znakomitych uczonych z Polski i zagranicy. *H. A.*



JERZY SŁAWKOWSKI.

PEJZAŻ PRZED BURZĄ

Góry, pod chmur taborem idące leniwie
Jak ciężko jucznych wołów parujące grzbiety,
Przesłania deszcz zielony na zielonej szybie,
Iż świat na okiennicy jest krzyżu rozpięty.

Stado gór nieruchome ogląda się w chmurze
I rykiem po pustkowiu przelękłe rozpacza,
Aż je znaglą do chodu trzaskające w górze
Przez pół nieba lecące bicze poganiacza.



DR. KAZIMIERZ MAJEWSKI PROF. UNIW. JAG.

WITKOWICE

Mało znalazłoby się osób w Krakowie i w okolicy, któreby nie umiały powiedzieć, co to są Witkowice. Witkowice to zakład, w którym mieszkają i leczą się dzieci chore na oczy. Nie każdy wie jednak, jakie to dzieci są przyjmowane do tego Zakładu i z powodu jakiej choroby ocznej. Postaramy się to wyjaśnić. Istnieje zapalenie powiek, ściślej mówiąc, spojówki, t. j. błony różowej, która powieki od spodu wyściela, — zapalenie bardzo przewlekłe, bo ciągnie się latami, i bardzo zaraźliwe Jest to tak zwana jaglica (trachoma). Oczy dotknięte tą chorobą silnie ropieją i właśnie ta ropna wydzielina jest rozsadnikiem zarazy. Choroba ta, nieleczona lub chociażby tylko niedostatecznie i niedość wytrwale leczona, prowadzi w bardzo wielu przypadkach do utraty wzroku, do ślepoty. Dotknięci tem strasznem kalectwem ludzie stają się bezużytecznym ciężarem dla społeczeństwa.

Jaglica szerzy się ze szczególnem upodobaniem wśród dzieci, zwłaszcza w zakładach, w których mieszka wspólnie większa liczba wychowanków, a więc w internatach, w sierocińcach, w ochronkach, w żłóbkach, w różnych instytucjach dobroczynnych, wychowawczych i dydaktycznych. Gdy się w którymś z takich zakładów pojawi wśród dzieci jaglica, jest rzeczą niezmiernie trudną oddzielić dzieci chore od zdrowych; toż samo i leczyć dzieci już dotknięte tą chorobą na miejscu jest prawie niepodobieństwem. To też zaraza oczna szerzy się zwykle wśród wychowanków zakładu w sposób zastraszający. Otóż dla tych to dzieci, jaglicą nawiedzonych, a pochodzących z zamkniętych zakładów wychowawczych, został stworzony w Witkowicach wzorowy Zakład leczniczy, będący własnością Uniwersytetu Jagiellońskiego i pozostający pod jego bezpośrednią opieką. Zakład witkowicki powstał w r. 1919, a twórcą jego jest prof. Emil Godlewski, b. Senator Rzpltej, a obecny dziekan Wydziału lekarskiego U. J., ten sam, co stworzył jeszcze od Witkowic wspanialszy Zakład dla dzieci z gruźlicą kości i stawów w Zakopanem.

Do Zakładu witkowickiego przyjmuje się zatem dzieci, obecnie tylko dziewczęta, (ale możliwe jest w nim także leczenie i chłopców), cierpiące na jaglicę (egipskie zapalenie oczu), pochodzące z zakładów wychowawczych, rozsianych po wszystkich województwach Państwa polskiego. Analogiczny, ale bardzo słabo wyposażony i nieodpowiednio pomieszczony Zakład dla chłopców w Częstochowie, zostanie w najbliższym czasie zwinięty, a chłopcy dotąd tam leczeni, zostaną przeniesieni do Witkowic.

Leczenie oczu dzieci przyjmowanych do Witkowic odbywa się pod kierunkiem i kon-

trolą uniwersyteckiej Kliniki okulistycznej w Krakowie i jest wykonywane przez klinicznych lekarzy i liczny personal pomocniczy. Dziecko jaglicą dotknięte dopiero po dokładnem i niewątpliwem wyleczeniu, jako zupełnie zdrowe zostaje odesłane do swego zakładu macierzystego, względnie, o ile nie jest sierotą, oddane rodzicom. Trzeba jednak wiedzieć, że leczenie i wyleczenie jaglicy wymaga nieraz długiego czasu, częstokroć trwa nawet przez szereg lat, a że chodzi tu zazwyczaj o dzieci w wieku szkolnym, a choroba spojówek ocznych po krótkim wstępnym okresie leczenia nie wyklucza pobierania nauki, przeto w murach zakładu istnieje siedmioklasowa szkoła powszechna, do której dzieci uczęszczają regularnie, uzupełniając jeszcze ponadto swe wykształcenie w różnych pracowniach i warsztatach. Zajmują się też pracą w ogrodzie, uprawiając swe grządki.



Przy zabawie.



Prof. Majewski i pacjentki.

Kierunek wychowawczy jest oczywiście szeroko uwzględniony w Zakładzie witkowickim, co już w nazwie jego widniejącej na frontonie bramy wjazdowej znajduje wyraz w określeniu: „Uniwersytecki Zakład leczniczo-wychowawczy dla dzieci jaglicznych". Zbyteczne dodawać, że kierunek wychowania jest narodowo-religijny i ma na celu wszczepiać w serca i umysły leczonych w Zakładzie dzieci zdrowe i zbożne zasady.

Zakład rozłożony w zdrowej okolicy za wsią Witkowice, w odległości czterech kilometrów od granic Krakowa, na rozległym, kilkudziesięciomorgowym terenie składa się z kilkunastu nowych, murowanych pawilonów ustawionych w dłuży czworobok, obejmujący wspaniały zieleniec, ozdobnych drzew i krzewów. a otoczony szerokim pasem ogrodu owocowego podszytego gęsto krzakami malin i porzeczek. Nad pawilonami i ogrodami



Ranna toaleta.

panuje piękny kościółek zakładowy wzniesiony na wzgórzu i zdaje się błogosławić pięknemu dziełu, któremu służą pracownicy zakładowi.

Urządzenia w pawilonach są wzorowe i nawskróś nowoczesne: wodociągi, łazienki natryskowe, światło elektryczne, wspaniała sala gimnastyczna, w której odbywają się nieraz też zakładowe uroczystości, pierwszorzędne wyposażenie sal ordynacyjnych w urządzenia lekarskie i to nietylko dla leczenia oczu, ale i innych przypadkowych schorzeń, jakim dzieci „witkowickie" mogą podpadać. Istnieje nawet intra muros osobny zakład dentystyczny, przez specjalistów obsługiwany. Poza tem wszystkie dzieci z Witkowic mają w razie potrzeby zapewnioną pomoc każdej z krakowskich klinik uniwersyteckich.

Dzieciom w Witkowicach jest dobrze, w czasie swego długiego pobytu i długiej nieraz bardzo przykrej kuracji, przywiązują się mimo wszystko do Zakładu, do pań opiekunek, nauczycielek i wychowawczyń, a także do swych koleżanek i rówieśniczek — tak, że gdy po zupełnem wygojeniu jaglicy i po upływie obowiązkowej trzymiesięcznej obserwacji (dla upewnienia się, że choroba już nie powraca) – przyjdzie wreszcie chwila wyjazdu, powrotu do zakładu macierzystego; niejedną żal ogarnia i do ocząt, po ciężkiej chorobie wypoczętych, a przed ślepotą skutecznie zabezpieczonych, cisną się łzy smutku.

WITOLD WILKOSZ. PROF. UNIW. JAG.

O takich, co gorzej od nas rachują

W szkole średniej, jak wiadomo, sztuka dodawania ułamków czy też silniejsze wiadomości z zakresu wiekopomnej tabliczki mnożenia starego Pitagorasa, świadczą już o głębszych talentach matematycznych, podczas gdy braki w tym kierunku są dowodem artystycznych raczej czy humanistycznych skłonności u młodych głów. Tym ostatnim oraz tym już całkiem dorosłym, którzy niechętnie podejmują się zliczenia książeczki sklepowej, jako że »nigdy nie mieli głowy do matematyki« (!) trzeba na pociechę powiedzieć, że są tacy, którzy jeszcze gorzej od nich rachują lub rachowali. Są to t. zw. ludy pierwotne, (to znaczy ci, którzy *jeszcze gorzej!)* Niestety ludów naprawdę pierwotnych coraz to mniej na świecie. Gdy Flaherty objeżdżał Morza Południowe, by znaleźć tam tematy do filmów tchnących czarem pierwotnej przyrody, dowiedział się ze smutkiem, że większość ludów natury uważa w dzisiejszych czasach fotografowanie się co niedzielę za miłą i niewinną rozrywkę, a skargi o kradzież gramofonu u sąsiada są tam na porządku dziennym. Ładna mi dzika przyroda!

Musimy się cofnąć do dawniejszych nieco czasów, do 19 wieku, kiedy podróżnicy i misjonarze pozostawiali nam dość dużo wiadomości o życiu ludów, wówczas jeszcze pierwotnych. Kilka wypraw naukowych badało nawet dość szczegółowo stopień rozwoju sztuki rachowania u takich dzikusów. Materjału niepodejrzanego niema jednak wiele, ale z tego, co jest, zdajmy krótko sprawę.

Nie znając wcale liczb całkowitych, można doskonale rozpoznać, czy dwie gromady przedmiotów mają tę samą ilość przedmiotów, czy nie, można ocenić, w którym jest np. mniej przedmiotów, a w którym więcej, metodą zwykłej wymiany »sztuka za sztukę«. — Takiego jednak stadjum, w którem ludowi jakiemuś nieznane byłyby wogóle liczebniki, dawno już nie spotykamy. Ale jeszcze Dobritzhoffer stwierdził u Guaranów w Paragwaju, a było to przed rokiem 1800, że właściwie nie znają oni wcale liczb głównych, choć wielu z nich umie na pamięć wyliczać kolejno nazwy hiszpańskich liczebników, nie wiedząc jednak wcale, do czego one właściwie służą. Niemniej lud ten bardzo dobrze porównywał gromady przedmiotów co do ich równolicz

ności i wykazywał nawet w tym kierunku znaczną wprawę *).

Liczebniki służą, jak wiadomo, do oznaczania ilości przedmiotów w zbiorze lub do odliczania czy wyliczania przez wyznaczanie przedmiotom kolejnych miejsc w porządku liczbowym. Otóż spotkano ludy, które przy wyliczaniu różnych gatunków rzeczy używają różnych liczebników porządkowych, u których zatem niema jeszcze metody ogólnej odliczania. I tak w Australji, w okręgu Adelajdy, badacz Moorhouse odkrył, że lud tamtejszy rachuje kolejno dzieci w jednej rodzinie w porządku, w jakim przychodziły na świat, używając do tego celu innych liczebników dla chłopców, a innych dla dziewcząt A więc:

	Chłopiec	Dziewczvna
1-sze dziecko zwie się:	**Kertameru,**	**Kertanja**
2-gie „ „ „	**Warritja,**	**Warriarto**

i t. d. aż do 9-go dziecka.

Liczebniki powyższe nie mogą służyć jednak do wyliczania niczego innego, a innych wprost niema.

U ludów tych, jak i u wielu innych w Australji, niema jeszcze liczebników głównych powyżej 3. *Wyliczanie* już istnieje, niema jeszcze rozwiniętego *liczenia.*

Najmniej liczb głównych posiadają, zdaje się, mieszkańcy wysp Murray'a, właściwie tylko dwie: netat = 1, neis = 2; niektórzy liczą jeszcze: neis-netat = 3 i neis-neis = 4, inni znów powtarzają kolejno neis czy netat i palcem dotykają w pewnym porządku różnych części ciała, zaczynając od małego palca lewej ręki, kolejno idąc przez dalsze palce, potem łokieć lewej ręki i t. d. W ten sposób potrafią liczyć do 31 i podawać liczbę przedmiotów. Jeśli sąsiad chce sąsiadowi donieść, ile jego znajomy ma sztuk bydła, pokazuje mu to miejsce ciała, do którego znajomy przy liczeniu doszedł. Sąsiad zaczyna liczenie od początku i po ciężkim trudzie już wie wszystko! Zgadza się to z twierdzeniem naszej arytmetyki, mówiącem, że *ilość* przedmiotów w danym zbiorze wyraża się tą liczbą, do której doszliśmy w kolejnem *odliczaniu,* trzymając się „naturalnego" porządku liczb, zaczynającego się od 1, poprzez 2 i t. d.

*) Dobritzhoffer: Historia de Abiponibus. 1784.

W mniej szczęśliwem położeniu był tubylec naczelnik plemienny Dajaków na Borneo, który sobie policzył do raportu dla władz holenderskich, ile wsi jest objętych powstaniem. Liczył on to przy pomocy liści, porozkładanych w pewnym porządku na ziemi. Chcąc o tej ilości powiadomić władze, musiał liście ze sobą przynieść i dobrze zapamiętać ich poprzedni porządek, aby je znowu tak samo porozkładać.

Gdy lud pierwotny utworzył sobie już pojęcie abstrakcyjne *jedynki* i *dwójki,* najczęściej eksploatował zdobyte idee we wszystkich kierunkach, zanim przeszedł do następnej liczby. I tak nauczył się operacji *podwajania* i rozpoznawania, czy zbiór jakiś jest dokładnie dwa razy liczniejszy od innego, operacji *powiększania* o 2, choć wcale nie mógł jeszcze podać, ile jest właściwie podmiotów w dawnym czy nowym zbiorze i t. p. Często bardzo myli on podwajanie z powiększaniem o dwa, a nawet później, gdy już ma dalsze liczebniki, nie odróżnia w mowie, jak naprzykład lud w Nowej-Pomeranji, $10 + 2$ od 10×2, nazywając te liczby jednako: sanaul lua t. zn. 10, 2. Później już występuje różnica, jak np. u ludu Dinka w okolicy Górnego Nilu, gdzie

2 = ru 5 = wtjets,
ale 7 = wderu, 10 = wtyer
= 5 + 2 = 5 × 2 **)

Kto z nas myli mnożenie z dodawaniem, ten się zgodzi, że to już wielka sztuka i postęp!

Nazwy liczebników u bardzo wielu ludów pierwotnych wskazują jeszcze bardzo wyraźnie, że powstały one z rachunku na palcach, względnie na innych częściach ciała. Gdy idzie o oznaczenie większej nieco liczby, niejednokrotnie nazwy stają się niezmiernie skomplikowanemi. Np. 6 u Eskimosów z przylądka Barrowa nazywa się: *atuntjimin akbinigin tadlimut* t. zn. „jeden raz poza najbliższą (ręką) i pięć".

Pięć, liczba palców dłoni, stanowi często jednostkę wyższego rzędu, przyczem np. na wyspach Oceanji znalazł Latham nazwy:

1 = parai = 6
2 = paroo = 7
3 = pargen = 8
i t. d. do 10,

**) Fr. Müller Grundriss der Sprachwissenschaft.

kto jednak chce dać poznać, że ma na myśli 7, a nie 2 trzyma rękę w górze!

Tworzenie liczebników, tak przez dodawanie, jak i przez odejmowanie, czego ślad mamy w łacinie, gdzie:

21 = viginti et unum = 20 + 1
19 = undeviginti = 20 — 1,

jest częstem np. u Ainosów:

6 = iwa = 10 — 4
7 = arawa = 10 — 3
8 = lupe san = 10 — 2 i t. d. aż do 6.

Jeżeli teraz mowa o działaniach, to ci z nas, którzy słabo niemi władają, niech się pocieszą, że u wielu ludów pierwotnych mamy tylko: *dodawanie, odejmowanie, podwajanie.* Czasem jeszcze *połowienie.* Tabliczka mnożenia choćby do 100 stanowi tu ideał niezniszczalny!

Dałoby się wiele jeszcze powiedzieć o tych rzeczach, ale jak na mały artykulik, to chyba już dość tej »matematyki«.



OD KORNETU DO ONDULACJI

Kraków 24 marca godz. 16·39.

Do Redakcji.

Wybaczcie, że nie wywiązałem się z zadania i nie napisałem nic o temacie, wyszczególnionym w tytule. Niechaj poniższe słowa będą mojem wytłumaczeniem.

To się nazywa sytuacja bez wyjścia... Przyrzekłem... Mało tego. Powiedziałem, że już mam wszystko napisane, gotowe od a do z i trzeba tylko przedyktować na maszynę... Mianowicie moje pismo jest mocno nieczytelne. Nawet dla mnie... Dzień za dniem mija, a ja... o, rozpaczy, teraz dopiero rozumiem sytuację biednych rozbitków w »Dolinie bez wyjścia« Vernego... Od kornetu do ondulacji, to się tak łatwo mówi, ale sprawa w gruncie rzeczy jest poważna. Trzeba by to napisać rzeczowo, coś niecoś natrącić o historję, uzasadnić rozwój i przemiany.

Do licha! Od czegóż encyklopedja... Szukam gorączkowo litery K... Jest. Strona 486. Kornet... podchorąży, oficer... To nie to. Kornet, instrument muzyczny dęty... Bogowie i cóż to ma wspólnego z ondulacją? Nie mogąc znaleźć żadnego innego kornetu, rzucam się na literę f... Może coś o fryzurach... Fryz, fryze, fryzowie a potem Ftaleiny. Patrzę na rok wydania encyklopedji. 1899... Widocznie wtedy nie interesowali się ludzie takiemi rzeczami... Ale ja muszę się interesować... Ja jestem zgubiony.

Podchodzi do mnie kolega redakcyjny, bardzo miły blondyn, i mówi zjadliwym głosem: Znowu dzwonili, kiedyż się pan wreszcie namyśli? Namyśli?... Z czegoż ja się mam namyślić, może z tej przedpotopowej księgi, w której są same trąbki i podoficerowie.

Przywołuję wszystkie możliwe wspomnienia, przed oczyma kotłują całe sterty nieprawdopodobnych fryzur, loki, spiętrzone w piramidy, a na nich diademy, czepki, pióra... Licho wie, co jeszcze mogły sobie wpiąć do głowy kobiety. Wśród wszystkich zjawiających się i znikających w momencie

widm powraca uporczywie jedno. Jest to jasna główka dziewczęca z mysim ogonkiem. Gładko wyczesane włosy kończą się takim zabawnym, cieniutkim warkoczykiem, związanym z całej siły czerwoną wstążeczką i rozczapierzającym się w uroczy pendzelek... Dobra! Nareszcie coś jest. Ale jak to uzasadnić społecznie i do jakiego stylu zaliczyć? Spróbujmy.

»Mysi ogonek« prototyp warkocza i wszystkich dalszych kompozycyj włosowych z tegoż wynikłych jest najdawniejszą i najczęstszą formą... zaraz... czy ja czego nie poplątałem? Teraz widzę już tylko olbrzymie białe peruki rococowe z drzemiącemi na nich złotemi modelami okrętów o perłowych żaglach. Peruki kroczą naprzód w dumnym szeregu, a za niemi unosi się biała chmura pudru. Puder, pełno pudru — jak mgła. Z mgły wyłaniają się wdzięczne greckie upięcia główek empirowych, potem romantyczne loczki i znów wysokie, wypchane wałkami dostojne fryzury naszych matek. (Jak na starych, wyblakłych fotografjach, przechowywanych w pudłach z czerwonego aksamitu.) Parada fryzur, istna rewja. Chłopięce, krótko podcięte, wygolone na karku, i te najnowsze z loczkami...

Nagle pierzchnęły wszystkie. Spłoszone ukazaniem się bladej, nieomal przejrzystej w swojej piękności twarzy, okolonej surową białością kornetu. Ale — o przemyślności kobieca, nawet i ten kornet jest zaprasowany w liczne fałdki, ururkowany i starannie zmięty. — Takie to jest już wrodzone kobiecie poczucie piękna i porządku!

Biedne wystraszone peruczki i uloczkowane główki skryły się gdzieś w kącie, tworząc piękną grupę, o której napisać mógłby poemat wielbiciel tajemniczych misterjów zamkniętych w kształtach i upięciach włosów. Słusznie może byłoby teraz zacząć mówić o tym problemie, ale ja nie mogę. Wybaczcie... Łatwiej byłoby mi pisać o hodowli pasikoników, albo wogóle traktat astronomiczny o bliżej nieznanych planetach.

Okropna maszyna do trwałej ondulacji jest upiorem, który mnie prześladuje twarzą Gorgony, okoloną tysiącem wężów. Nie mogę znieść zapachu włosów, ani pisać...

Jeden tylko mysi ogonek zadarty filuternie w górę budzi mój zachwyt... Zbieram więc wszystkie siły i krzyczę na cztery strony świata: »Niech żyje mysi ogonek«.

W tej sprawie nie mam więcej nic do powiedzenia. *Jan Szancer.*

Godz. 17.

Marja Midowiczowa

Malarzu — uśmiechnij się!

Niełatwe to w dzisiejszych czasach, jednak — wystarczy pójść do Pałacu Sztuki i posłuchać uwag publiczności, zwiedzającej wystawę, aby się uśmiechnąć...

Oto starszy jegomość i jego towarzyszka, przystają przed płótnem Rutkowskiego: »Arabka«.

— Co za śliczna, opalona twarzyczka! — zachwyca się pani!

— Jabym tego nie kupił. Ta kobieta ma szeroką dłoń. Najpiękniejsza niewiasta traci w mych oczach, gdy ma nieładne ręce — (W ten sposób ocenia się walory malarskie?!) idźmy dalej, słuchajmy, uśmiechajmy się. — Martwa natura Krchy.

Ktoś powiada — przecież te jajka wkrótce spadną ze stołu i będzie jajecznica!

Mam ochotę uspokoić, że nie spadną, ponieważ jest to obraz, a nie kuchnia. — Jeszcze dalej ktoś drwi:

Chciałbyś się wyspać na tej poduszce? To ma być poduszka — na tej tam kanapie?!... — Tak panie, — myślę — to ma być poduszka. Stworzył ją malarz a nie tapicer; artysta, a nie rzemieślnik. Dlatego jest tylko barwną, miłą dla oka plamą w kompozycji obrazu. Nie jest to rzeczywisty worek z jedwabiu czy płótna, wypchany piórami lub włosiem, na którym szanowny pan radby się przespać. Na obrazie nikt nie sypia, zape-



Pałac Sztuki. *Fot. R. Petkunówna.*

której nowoczesne malarstwo obficie dostarcza.

Obraz jest kawałkiem świata, widzianym indywidualnie przez temperament artysty. Wszystko, co bujne i żywotne, przechodzi z biegiem lat ewolucje i zmienia się. Czemużby temperament malarski miał zawsze pozostać ten sam?

Z rozważnych niegdyś dokładnych, niemal rzemieślniczych malarzy, otaczanych życzliwością i uznaniem społeczeństwa, tworzących spokojnie swe długoletnie dzieła, została obecnie grupa artystów, pracujących jedynie z zamiłowania, z szczerego, gorącego ukochania Sztuki — dla Sztuki, których społeczeństwo — prócz niezrozumienia — niczem nie darzy.

wniam pana. Ten piękny, naprawdę piękny obraz — ma służyć jedynie do dekoracji ściany....

Kiedyż nasza publiczność zrozumie wreszcie, o co w malarstwie chodzi? Wszak malarz — to nie fotograf, lecz artysta, który powinien szczerze, indywidualnie oddawać to, co widzą jego malarskie oczy.

Na świecie »wszystko płynie« — i malarze płyną w coraz to inne linje i barwy. — Owo bezustanne szukanie nowych dróg jest najcenniejszym przejawem życia w twórczości artystów. — Muzea pełne już są po brzegi znanych i uznanych arcydzieł. — Dzisiejsi malarze nie starają się malować muzealnie, nie idą utartą, wygodną ścieżką; nie powtarzają się, lecz dążą odważnie naprzód.

Gdyby malarstwo jedynie i uparcie naśladowało naturę, stałoby się w końcu czemś monotonnem, na co nie warto byłoby spojrzeć. Publiczność, zwiedzająca wystawy, ziewałaby z nudów, nie odczuwając potrzeby dyskusji,

Pomimo tak ciężkich warunków, malarze nie zrażają się i nigdy nie brak młodych adeptów z tej dziedziny.

Piękny, stary Kraków, który jest bezsprzecznie, stolicą naszej kultury i kolebką wielu talentów polskich, jak Matejko, Wyspiański, Malczewski, posiada prócz Akademji malarskiej parę szkół prywatnych oraz państwową szkołę zdobnictwa i przemysłu artystycznego... Czy znajdzie się kawałek chleba dla młodych artystów, gdy ukończą swe malarskie studja? — wątpić należy.

Przymierający głodem malarzu — w myśl modnego obecnie apelu — uśmiechnij się, jeżeli zdołasz...

Wycięliśmy najtęższy starodrzew,
wydobyli najbielsze marmury
i domy świątynne wznieśli.
Na niezłomnych, twardych cyfr szkielecie
zbudowali naszych lotów skrzydła,
a wciąż obce nam proste prawidła
dróg miłości, serc architektury
ubogi Synu cieśli.

M. Czerkawski.

ROMAN KORDĘSKI

Poezja dzisiejszego Krakowa

Gdy ktoś obcy przyjedzie do Krakowa i w pogodną noc księżycową idzie średniowiecznemi zaułkami ulicy Kanoniczej, gdy w drganiach srebrnej poświaty rysują się przed nim baśniowe kontury Wawelu, a zwłaszcza, gdy ze strzelistych wież Panny Marji zacznie na uśpione miasto płynąć upajająca melodja Hejnału — a maszkarony Sukiennic zdają się śmiać i wykrzywiać do złudnych blasków księżyca — musi cudzoziemiec pomyśleć: tu kamienie układają się same w kształt sonetów, tu baszty i mury same dzwonią eposem — tu jest, tu być musi ojczyzna poetów! I tak jest rzeczywiście. Nad Krakowem drga powietrze rytmem wiersza.

Przedewszystkiem, nawet myśląc o najaktualniejszej teraźniejszości, nie można na każdym kroku w Krakowie nie spotykać Wyspiańskiego, nie można nie widzieć Wawelu w ożywczej wizji jego dramatów, nie można, patrząc na krakowskie pomniki, nie słyszeć strof z ich kamiennych płynących ust. Ale dziś musimy się otrząsnąć z fascynującej wizji przeszłości, dziś musimy słuchać lir jeszcze brzmiących i lir zaczynających pierwsze swe wydawać tony.

Gdy mówimy specjalnie o Krakowie, musimy przedewszystkiem wspomnieć dwóch jego wielkich, choć już do starszego pokolenia należących poetów, a mianowicie K. H. Rostworowskiego i L. H. Morstina. Dzieło L. H. Morstina, to, jakby powiedział wielki francuski Ojciec Brémond, »de la poésie pure«. Morstin choć jest dramaturgiem, w ostatnich czasach dużo pisze i prozą, jest przedewszystkiem z krwi i kości poetą, i lirykiem. Świadczą o tem liczne tomy jego wierszy, świadczą wierszem pisane dramaty. Język jego jest zawsze śpiewny, pełen poezji, kształcony na najlepszych klasycznych wzorach, Morstin bowiem jest z zamiłowania klasykiem, kocha wielką sztukę grecką, ma jej przejrzystość, kulturę i umiar.

Rostworowski w przeciwieństwie do Morstina jest raczej dramaturgiem niż lirykiem. Prawdziwie zdumiewające jest u niego wyczucie sceny, jakieś dziwne silne napięcie dramatyczne, wydobywające się z każdej jego sztuki. Wielka część utworów tego jednego z największych dziś polskich dramaturgów jest pisana wierszem, wierszem dobrym, pięknym i dziwnie dostosowanym do wymogów sceny. Sztuki jego czy to symboliczne jak »Zmartwychwstanie« i »Miłosierdzie«, czy historyczne jak »Kaligula«, czy realistyczne jak »Niespodzianka«, są zawsze doniosłemi wypadkami, nietylko w kulturalnem życiu Krakowa, ale i całej Polski.

Do starszych poetów Krakowa zaliczyć także należy wdzięcznego piewcę Włoch Pietrzyckiego i pełnego melancholji, zadumy i rzewnego smutku Antoniego Waśkowskiego, jako też dwie znakomite poetki: Marję Pawlikowską i Marję Morstin-Górską. Pawlikowska jest napewno dzisiaj jedną z najwybitniejszych polskich poetek, niestety jej doskonały w formie i kunsztowny wiersz wyraża światopogląd prawie że pogański i żadnych walorów moralnych i etycznych w dorobek polskiej kultury nie wnosi. Rzecz ma się przeciwnie z Marją Morstin-Górską, której trzy tomiki poezji »Elegje wiosenne«, »Błyski latarni« i »Krąg miłości« przynoszą ze sobą obok doskonałej formy poetyckiej prawdziwy skarb najgłębszych myśli. Jeśli zaś chodzi o poezję czysto krakowską, to nikt może tak jak właśnie ona w »Błyskach latarni« nie oddał piękna Krakowa nowoczesnego, piękna niedawno w sztuce odkrytego ulicy, miasta, jego ruchu, gwaru i nastrojów.

W Krakowie, tak jak zresztą dziś wszędzie indziej, istnieją różne t. zw. grupy poetyckie. Zorjentować się jednak w tych ugrupowaniach jest dość trudno, bo młodzi adepci muz szybko się w grupy wiążą, ale może jeszcze szybciej rozwiązują, zmieniając je i ciągle przekształcając.

Grupą, która największą może rolę w literaturze współczesnej odegrała, jest grupa Czartaku, która choć nie ściśle krakowska, z Krakowem jednak duchowo na tyle jest

związana, że nie sposób o niej tu nie wspomnieć. Grupa ta dziś już w swej dawniej spójni nie istnieje, ale słyszę, że jej członkowie: Szantroch i Kozikowski usiłują na nowo ją zcementować. Założycielem tej grupy był wielki piewca Powsinóg Beskidzkich, Emil Zegadłowicz. Do najwybitniejszych jej członków należeli: Tadeusz Szantroch, Edward Kozikowski, Janina Brzostowska, Józef Birkenmajer, Wiktor Hanys. (Dla szczupłych ram tego artykułu muszę poprzestać prawie że na wyliczaniu poetów, nie mogąc dać choćby pobieżnej ich charakterystyki).

Temu jakieś 10—12 lat utworzył się w Krakowie Klub Gałki Muszkatołowej; było to zrzeszenie poetów futurystów, potem formistów. Do ugrupowania tego o bardzo śmiałym i nowatorskim programie należeli: Stanisław Młodożeniec, Jan Hryńkowski, Bruno Jasieński, Tytus Czyżewski, Kontynuacją niejako programu formistów było pismo »Zwrotnica«, wydawane przez Tadeusza Peipera, bardzo ciekawego poetę i teoretyka sztuki (jego książka »Tamtędy« jest jakby credem artystycznem tego pokolenia młodych nowatorów). Z pismem tem złączeni byli Jan Brzękowski, Juljan Przyboś, Adam Ważyk, Jalu Kurek. Z tej grupy najbardziej się wybił i niejako przeżył ją oprócz Peipera Jalu Kurek, doskonały tłumacz Marinettiego i sam poeta oryginalny.

Dalszem ugrupowaniem poetów krakowskich dziś już w swej pierwotnej formie nieistniejącem był Heljon. Organem Heljonu była Gazeta literacka, która do dziś dnia wychodzi i jest jakby duchową spadkobierczynią tej grupy. Gazeta ta, której komitet redakcyjny składa się z dobrych i znanych pisarzy i poetów: Gałuszki, Goreckiego, Kudlińskiego Rusinka i Szantrocha jest, nawiasem mówiąc, pismem doskonałem, o dużym kulturalnym poziomie, które wszystkim chcącym się zapoznać z naszem życiem literackiem i kulturalnem polecić jak najbardziej można. Gazeta literacka drukuje cały szereg utworów poetyckich pisarzy młodych i najmłodszych, jak Juljana Patrycego, Zechentera, Adolfa Fierli i wielu innych, o których roli w literaturze mówić jest przedwcześnie, ale których twórczość śledzić należy z zainteresowaniem. Z dawnych członków Heljonu, do którego należeli: Jerzy Braun, Józef Aleksander Gałuszka, Jarosław Janowski i Juljusz Feldhorn, najbardziej wybił się jako poeta Józef Aleksander Gałuszka. Poezję Gałuszki cechuje nuta pogody, radości, głęboka religijność i umiłowanie przyrody.

Dziś istnieje w Krakowie właściwie już tylko jedno ugrupowanie poetyckie Litart, w którym na miejsce naczelne wysuwa się mocny i oryginalny talent Czuchnowskiego, a część poetów najmłodszych i postępowych skupia się dokoła pisma Linja.

Tak mniej więcej wyglądałaby dzisiejsza poezja Krakowa. Obraz ten jest bardziej niż pobieżny, a może nawet wskutek trudności zebrania dokładnych informacyj niekompletny, świadczy jednakowoż o wielkiem bogactwie i bujności kulturalnego życia Krakowa i ta bujność daje rękojmię, że piszący w Krakowie poeci napewno niejednem jeszcze znakomitem dziełem literaturę polską wzbogacą, a także wzbudza ufność, że coraz nowe i młode głosy będą się dołączały do tego potężnego chóru pieśni krakowskiej.

ÓZEF ALEKSANDER GAŁUSZKA

SPOTKANIE W POLACH

Tu się spotykam z tobą twarzą w twarz
w słońcu, we wichrze, w aksamitnej runi —
tu nad mem sercem nieprzerwanie trwasz,
jak pieśń skrzypcowa, zciszona przez tłumik —

W żywej twej pieśni, zapuszczam korzenie
Skarlały wielce, schorzały twój szczep —
czuję krew twoją, jak ognia strumieniem
dźwiga mnie w błękit — w ciszy wolnych nieb.

Słonecznym błyskiem, jak ostrzem topora
odcinasz każdy zbyt przyziemny pęd —
ogniem krwi Twojej rozkwitam na koral
w słońcu komunji śnieżę się nad śnieg. —

I jestem prosty, jak prosty jest krzyż
błogosławiący swe własne rozdroża. —
Palcem w mem sercu, jak gwóźdź w ranie tkwisz,
osamotniony na szczytach gwiazd, Boże.

DR. JÓZEF PREMIK

WULKANY KRAKOWSKIE

Często słyszymy lub czytamy o katastrofalnych trzęsieniach ziemi i wybuchach wulkanów. Rok temu z 8 wulkanów południowoamerykańskich wylewały się przez szereg dni olbrzymie potoki ognistej lawy, wysypywały się ciemne masy gorącego popiołu, które gnane wiatrem pokrywały cienkim płaszczem obszary odległe nieraz o tysiące kilometrów. W czasie gwałtownych erupcyj ziemia kołysała się, trzęsła, osady i miasta rozsypywały się w gruzy. Ludność, nie czując pod stopami stałego gruntu, widząc powietrze w płomieniach, słysząc straszne i nieznane dźwięki, pełna grozy, szukała schronienia w kościołach i na wolnej przestrzeni.

W ostatnich dniach sejsmografy całego świata zanotowały gwałtowne i okropne w skutkach trzęsienie ziemi w jednej z najpiękniejszych krain świata — w Kalifornji. Straszne obrazy trzęsienia ziemi z krainy Wschodzącego Słońca stoją nam dzisiaj jeszcze przed oczyma. Grozą przejmują nas opisy eksplozywnego wybuchu wulkanu Krakatoa, który zniszczył całą wyspę, a pył wulkaniczny wyrzucił na wysokość 80 km. w stratosferę. Fala morska, powstała wskutek tego wybuchu, dotarła do wybrzeży Ameryki, Afryki i Azji, zatapiając setki nadbrzeżnych osad ludzkich.

Bolejemy nad temi katastrofami, śpieszymy z pomocą nieszczęśliwym ofiarom, dziękując Bogu, iż w naszym kraju żywioł ten nam nie zagraża. — Ale może niegdyś — bardzo dawno — dokąd pamięć ludzka nie sięga, inaczej u nas było?, może i u nas rozlegały się podziemne huki, trzęsła się ziemia, wylewały się z kraterów ognistopłynne potoki lawy, a gorący popiół pokrywał bujną roślinność na znacznych połaciach kraju?

Fakty, obserwowane w najbliższej okolicy Krakowa, przemawiają jasno i dobitnie, iż okolice te były w ubiegłych epokach geologicznych terenem gwałtownych przewrotów. Wystarczy spędzić jedną lub dwie niedziele w pięknych, nader urozmaiconych krajobrazowo okolicach Alwerni, Tenczynka i Miękini, aby zauważyć, iż obok zwykłych, białych,



poszarpanych skał wapiennych występują tu osady o innym wyglądzie, które nie posiadają ani uwarstwowienia, ani nie zawierają skamieniałych względnie zwęglonych resztek zwierzęcych lub roślinnych. *Są to skały wulkanicznego pochodzenia.* Wszystkie one występują w postaci mniejszych lub większych słupów pryzmatycznych, które przebiegają pionowo, skośnie, a nawet promienisto. Krajobrazowo skały te zaznaczają się najwznioślejszemi, kopulastemi wzgórzami, na których zbudowane są stare osady ludzkie (Alwernia), klasztory i zamki (Tenczynek).

Lawy te ze względu na skład mineralogiczny i chemiczny dzielimy na *diabazy* (bazalty) i *porfiry*.

Diabazy charakteryzują się barwą czarną, ceglastą lub czerwonawą, — strukturą drobnokrystaliczną, migdałowcową i gąbczastą. Odmiany czarne występują na Niedźwiedziej Górze koło Tenczynka, gdzie założono jeden z największych i najnowocześniej urządzonych kamieniołomów w Polsce. — Ceglaste, względnie czerwone odmiany, zwane *melafirami* znane są z licznych, drobnych łomów w Tenczynku, Regulicach i Alwerni. W tej ostatniej miejscowości zjawiają się wśród melafirów bardzo piękne, dość duże geody prześlicznych ametystów i naciekowych chalcedonów. *Porfiry* mają strukturę porfirową, barwę ceglastą, zielonawą i szarą, cios zaś pryzmatyczny. Skała ta widoczna jest we

wspaniałym, miejskim kamieniołomie w Miękini a ponadto w licznych, drobnych łomach Zalasu, Sanek, Poręby i Dubia.

— Prócz powyższych skał istnieją w Krakowskiem między Krzeszowicami a Trzebinią czerwone, plamiste *tufy porfirowe,* powstałe z popiołu wulkanicznego.

Lawy krakowskie występują na obszarze obejmującym przeszło 200 km^2. Tkwią one w postaci ławic wśród utworów permskich lub w formie płatów i potoków zalegają piaskowce tegoż samego wieku.

Osady permskie w miejscu zetknięcia się (kontaktu) z lawą uległy przepaleniu i znacznym zmianom czego nie można już stwierdzić w skałach młodszych, triasowego wieku. Fakty te dowodzą, iż wulkany krakowskie czynne były *w górnym permie.* Z końcem więc ery paleozoicznej, mniejwięcej 350 miljonów lat temu, wznosiły się w wysokogórskiej (łańcuch gór waryscyjskich) okolicy Krakowa potężne wulkany. W tym czasie a nawet może nieco wcześniej z kraterów ich wylewały się wielkie masy ognisto-płynnej lawy, ulatywały kłęby pary i gazów a ponadto ogromne ilości gorącego popiołu. Trzęsienia ziemi powodowały zapadnięcia się niektórych części skorupy ziemskiej.

Przed średniowieczem geologicznem zamilkły one na setki miljonów lat. I dzisiaj zostały z nich tylko znikome szczątki, które opowiadają nam o potężnem ich życiu i o przebytych niegdyś dniach grozy i trwogi.

DR. JÓZEF ŻUROWSKI DOC. U. J.

Z PREHISTORJI OKOLIC KRAKOWA

Przedhistoryczne życie ludzkie w okolicy Krakowa było niezwykle bujne. Złożyło się na to szereg przyczyn, szczególnie korzystnych. Już w starszym okresie epoki czwartorzędowej, w dyluwjum, spotykamy tu liczne ślady pobytu człowieka. Są to wogóle najstarsze jego ślady w Polsce. Jej obszary północne i środkowe były wtedy pokryte, jak wiadomo, najdłużej lodowcem, okolice zaś Krakowa zostały stosunkowo dość wcześnie uwolnione z tych lodów. Wówczas to przywędrowały od Zachodu pierwsze gromadki ludzi i znalazły schronienie w jaskiniach Ojcowa i okolicy. Jaskinie zaś tego rodzaju były wówczas tak poszukiwane, a nasze tak odpowiednie i taka ich mnogość, że odtąd stale je zamieszkiwano, przez czas dłuższy lub krótszy, w ciągu całej starszej epoki kamiennej (*paleolit*). Mieszkańcy owych jaskiń byli myśliwcami.

Przedmiotem ich łowów były w pierwszym rzędzie liczne wówczas mamuty i reny. Skóry tych zwierząt służyły za odzienie, mięsem ich żywiono się, z kości ich i rogu wykonywano narzędzia, najważniejsze obok głównie używanych krzemiennych. Broń kościaną zdobiono nawet niekiedy, przypisując zapewne owym ornamentom jakąś siłę magiczną, przynoszącą powodzenie w łowach. Ale ślady pobytu owych myśliwców pozostały także i poza jaskiniami. W cieplejszych porach roku zapuszczano się na łowy w głąb kraju i rozkładano obozowiska pod gołem niebem. Ślady jednego z nich pozostały nawet na wzgórzu św. Bronisławy, tuż poniżej kopca Kościuszki w warstwie lessu, rodzaju glinki dyluwjalnej, osadzającej się wówczas obficie wzdłuż południowej granicy lądolodu. W epoce owej nie miano przeto stałych siedzib, nie umiano wznosić domostw, nie znano uprawy roli i hodowli zwierząt domowych, nie umiano także lepić naczyń z gliny, szlifować i wiercić w kamieniu. Wszystkie te umiejętności są zdobyczą dopiero następnej, młodszej epoki kamiennej (neolit).

Ma się rozumieć nie odrazu. Z początkiem młodszej epoki kamiennej tryb życia ludzkiego niewiele różnił się od poprzedniego. Dzięki jednak wspaniałym tradycjom poprzedniej epoki posiadał myśliwy ówczesny już wrodzony, a dzięki nowym wysiłkom ciągle pomnażany, ogromny zapas doświadczenia w swoim zawodzie Broń myśliwska sięgała coraz to skuteczniej na odległość. Wystarczało więc, aby do łuku lub ościenia założyć maleńką strzałę krzemienną, mikrolitycznych, drobniutkich wprost czasem rozmiarów. Wyroby tego rodzaju znajdujemy pospolicie na wydmach piaszczystych, najchętniej wówczas zamieszkiwanych. Wydmy takie bieleją tuż nad Wisłą np. w okolicy

Skawiny i Tyńca, podchodząc aż pod miasto od strony Zakrzówka, lub też ciągną się nieco dalej wzdłuż progu Podkarpacia.

Lecz oto nadciągają od strony Moraw nowe gromady ludzkie. Dzięki bliskim stosunkom, związkom rasowym i bezpośrednim kulturowym z krajami bardziej ku południowi wysuniętemi, posiadają one zaczątki wszystkich tych najważniejszych dóbr kulturowych, które człowiek zdobył *w neolicie*, a o których mówiliśmy powyżej. Otworem stoją wówczas prawie bezleśne lessy wyżyny Małopolskiej. Strukturą swą były one najbardziej podatne dla pierwotnego rolnika, a łatwo było tu także wykopać na mieszkanie ziemiankę, którą od góry nakryto daszkiem wspartym o ziemię. Rozpoczyna się więc od połowy neolitu i wzmaga się z czasem coraz bardziej osadnictwo. Zbliża się ono od północy szerokim pasem, podchodząc czasem niemal pod sam Kraków (Witkowice). Oprócz początków rolnictwa trudnią się owi osadnicy neolityczni przyswajaniem zwierząt domowych. Im to zawdzięczamy przedewszystkiem, że bydło, świnia i owca, a później koń stały się naszemi zwierzętami domowemi. Wiara w istnienie życia pozagrobowego i związane z niem wyobrażenia nakazywały wówczas, aby ciało zmarłego w całości pochować w ziemi. Układano więc w dole zwłoki, jakgdyby we śnie, w pozycji skulonej na boku Do grobu składano siekierę kamienną i garnek, pięknie zdobiony ornamentami rytemi, odciskanemi stempelkiem lub sznurkiem, czasem także jakąś ozdobę z bursztynu lub muszli, w ilości zależnej od zamożności zmarłego. Groby tego rodzaju spotykamy często w owych osadach neolitycznych ludności rolniczej i to niejednokrotnie w tej samej ziemiance, którą zamieszkiwał ktoś za życia. Być bowiem pochowanym w swym własnym domu, to także było wyrazem ówczesnych wierzeń.

Szumiała jeszcze wówczas prapuszcza na południe od Krakowa i wogóle na całem Podkarpaciu. Lecz doliny niektórych rzek i rzeczułek pozwalały przecież wedrzeć się neolitycznemu osadnikowi nieraz dość daleko w głąb Beskidu i zająć nawet przybrzeżne stoki, zwłaszcza te, które były wystawione na działanie południowego słońca. Tak było w najbliższej okolicy Krakowa i nieco dalej ku wschodowi. Natomiast od zachodu mokradła Wisły, rozlane szeroko, zwłaszcza w Oświęcimskiem i Zatorskiem, utrudniały ustalenie się osadnictwa. Także całe zachodnie Podhale z Nowotarszczyzną mokrą i zwarcie lesistą było jedną



Naczynia i ozdoby bronzowe.

wielką bezludną puszczą aż do czasów wczesnohistorycznych.

Zmiany klimatyczne odbijały się wogóle bardzo silnie na stanie osadnictwa przedhistorycznego. Dlatego też, gdy suchy i ciepły klimat panujący w neolicie zaczyna przy końcu tej epoki zmieniać się na wilgotny, wtedy wyludniają się nawet żyzne lessy. Gdy po jakimś czasie nowi osadnicy pojawiają się liczniej w okolicy Krakowa, przynoszą oni już ze sobą nowe zdobycze kulturowe. Zamiast kamienia posługują się oni pierwszym metalem, *bronzem*, a zmarłych swych palą na stosach i w urnach grzebią na cmentarzyskach. Odkopano je w Mydlnikach, Skotnikach i w Prokocimiu, a więc znowu niemal na przedmieściach Krakowa. Z tego też czasu pochodzą skarby ozdób (Siersza, Krzysztoforzyce) lub narzędzi bronzowych, które chowano w ziemi w chwili niebezpieczeństwa, i gdzie ukryte pozostały do naszych czasów. Mieszkania ówczesne wznoszono już przeważnie na powierzchni, a nie tak, jak dawniej, w ziemi.

Zwyczaj ciałopalenia trwa także w następnej *żelaznej* epoce. Liczniejsze jej ślady pozostały w okolicy naszego miasta z pierwszych wieków po nar. Chr. Osadę z tych czasów odkopano w pobliżu kopca Krakusa, a groby w Giebułtowie i w Borku Fałęckim. Na wyrobach ówczesnych istnieje wyraźne piętno wpływów kultury rzymskiej, a dzięki im ulepszały się także i miejscowe. Zawitał też wówczas niejeden import wprost z Italji za pośrednictwem kupca, który otrzymywał wzamian futra, lub dążył nad Bałtyk po bursztyn, złoto północy.

Zbliżamy się powoli ku czasom historycznym. Już na kilka stuleci przed Mieszkiem I. organizują się W i ś l a n i e, zamieszkujący aż pod Sando-

mierz kraj nad górnym biegiem rzeki, od której wzięli swe miano. Może to wówczas usypano nad zwłokami jakichś książąt owe wielkie mogiły, które wznoszą się na wyżynie małopolskiej i przekraczają Wisłę w okolicy Krakowa. Najpiękniejsza z nich ocalała pod nazwą kopca Krakusa.

Ośrodkami, dookoła których się skupiano, były przedewszystkiem *grodziska*. Warownie te zakładano najczęściej na szczytach wzgórz, położonych wzdłuż rzek większych i mniejszych. Panowały one stamtąd nad całą okolicą. Występują one teraz już na całem Podkarpaciu. W pobliżu Krakowa grodziska takie spotykamy w dolinie Prądnika. Dochowały się one także w Tyńcu i w Mnikowie, a istniało ono również na wzgórzu wawelskiem. Z warowni tych wyruszały drużyny wojenne jeszcze za ostatniego z Bolesławów. Dziś pozostały ślady fos, gruzy wałów obronnych i ... legendy.

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA.

S. O. S.

„RATUJCIE DUSZE NASZE!“

(Ciąg dalszy).

...Dali mi to przed paru laty w jednej firmie wydawniczej, dokąd zwróciłem się między innemi z prośbą o jakąś ofiarę na budowę schroniska dla sierót... — objaśnił ich właściciel panią Wyrobkową, spoglądającą z ciekawością, a zarazem nieukrywaną pogardą na nędzny dobytek nabywcy jej placu i domu, — powiedzieli: opieka nad sierotami, mamy tu właśnie coś odpowiedniego dla księdza i nazajutrz przysłali mi tę pakę książek... Nie wiem wprawdzie, jaki może być z tego dla biednych dzieci pożytek, ale cóż miałem zrobić? Odesłać? Zatrzymałem... A nuż przydadzą się komu kiedy?...

Papier jest doskonały jako materjał do izolowania ścian. Cienkie przepierzenie obłożone papierem trzyma ciepło lepiej niż gruba ceglana ściana... — pouczała pani Wyrobkowa. Mogła mieć doświadczenie w tej sprawie, gdyż ściany na pięterku były w taki właśnie sposób sklecone z cienkich desek i obłożone pod tynkiem warstwami makulatury, w których swobodnie harcowały myszy.

— Prawda, że i to pożytek — przyznał ksiądz Michalak, i szychtę książek złożono w jednym z zajmowanych przez niego pokoi, składając ją na dwu deskach dla zabezpieczenia przed wilgocią zarażonej grzybem podłogi.

— Na krótko przed zakończeniem swego bytowania, domek na zarosłym chwastami placu miał szczęście do lokatorów większe, niż kiedykolwiek poprzednio, nie minęło bowiem parę dni, gdy zgłosiło się dwu amatorów na t. zw. górkę. Przedstawili się jako studenci politechniki warszawskiej, którzy z powodów od siebie niezależnych musieli przerwać studja na pół roku i teraz chcieli znaleźć tani a spokojny kąt, gdzie pracując tęgo, mogliby dogonić czas stracony...

Wymienili swoje nazwiska: Roman Ilski, Wacław Kobuz.

— Ależ na tym placu ma stanąć budynek i gdy tylko zaczną się roboty, ten dom będzie rozebrany, — tłumaczył ksiądz Michalak.

— Prędzej jak za jakie dwa miesiące roboty te pewno się nie zaczną?

— Niestety, nie.

— My też nie mamy zamiaru dłużej tu przebywać, dwa miesiące wystarczą nam z pewnością najzupełniej, oczywiście, gdyby dom miał być rozebrany wcześniej, usuniemy się natychmiast bez pretensji...

Ksiądz Michalak pocierał dłonią szorstki, od paru dni niegolony podbródek, przyglądając się im obu badawczo. Ilski nie robił ostatecznie przykrego wrażenia, lecz towarzysz jego miał zdecydowanie nieprzyjemną twarz. Trudno określić, na czem to polegało, bo rysy miał dość regularne i prostą postawę. Może w niespokojnym blasku migotliwych, unikających spojrzenia wprost w cudze źrenice oczu, lub nieżyczliwem skrzywieniu wąskich warg. Dość, że ksiądz Michalak, mający, jak wszystkie istoty bardzo czyste i dobre, nieomylną prawie intuicję co do moralnej wartości ludzi, z którymi się stykał, — pomyślał sobie w duszy: to nie jest dobry człowiek... To prawdziwy kobuz, drapieżnik...

Lecz, że miał serce anielskie, zawstydził się zaraz w duchu tych posądzeń i w obawie, by o nieznajomym, a kto wie, może najlepszym w świecie człowieku nie wydać złego sądu bez podstawy, odsunął ręką niby natrętną muchę niezawodne ostrzeżenie instynktu.

— Będzie tu ciasno, niewygodnie... — próbował jeszcze zniechęcić przyszłych lokatorów.

— Ale pewnie tanio, to zaś dla nas wzgląd najważniejszy, jako dla typowych studentów...

— Taniej niż w śródmieściu, oczywiście, znacznie taniej... więc panowie jesteście studentami?... Nie przypuszczałem, że można rok politechniki doganiać w domu, jak n. p. prawo?...

— Tylko teorję, — odparł krótko Kobuz, — więc szanowny ksiądz zgadza się nam wynająć ten pokoik?

— Ano, zapewne, tak... przystał ksiądz Michalak z mimowolnem westchnieniem.

— Jutro przywieziemy rzeczy...

Jakoż następnego dnia ręczny wózek popychany przez krzywonosego tragarza, tego samego, który przed tygodniem przywiózł ubogie graty księdza Michalaka, dostarczył pod dom nie bogatszą chudobę od obu studentów, składającą się z kilku skrzynek i dwu składanych łóżek żelaznych.

W następnych tygodniach, ksiądz Michalak miał okazję czynić sobie niejednokrotnie wyrzuty za zbyt pochopny sąd o obu młodzieńcach. W istocie bowiem trudno było wyobrazić sobie dwóch przykładniejszych lokatorów. Cisi, spokojni, całe dnie i wieczory spędzali na pilnej nauce. Okno ich bywało długo w noc oświetlone i stary ksiądz wracając wieczorem do domu spoglądał w górę machinalnie na dwie sylwetki, rysujące się ostrym profilem poprzez cienkie płótno rolety na tle oświeconego wnętrza pokoju w pozach, zdradzających zaczytanie.

— Pracowite chłopaki... A tak mi się nie podobali z początku... myślał wtedy staruszek, wielkim kluczem otwierając drzwi domu.

Gdyby kiedykolwiek jednak zbudowany tą niezmienną pracowitością poświęcił dłuższy czas obserwacji oświetlonego okna »górki«, uderzyłaby go może przedziwna nieruchomość obu sylwetek. Czyż można zaczytać się, zatopić w nauce do tego stopnia, by godzinami nie wykonać najlżejszego ruchu, nie zmienić układu ciała? Zdawałoby się to niezmiernie trudnem i męczącem, a przecież równie Roman Ilski jak Wacław Kozub opanowali tę sztukę w sposób doskonały. Ciemne ich profile rysowały się poprzez szybę z nieruchomością posągów.

Lecz ksiądz Michalak nie przystawał nigdy dłużej, zadawalniając się przelotnem i pełnem uznania spojrzeniem. Był zbyt zmęczony, zbyt spragniony spoczynku po całodziennej żmudnej pracy. Wstawał o świcie, dosłownie o świcie, w godzinie perłowo mlecznego pobrzasku. Kładł najstarszą swoją sutannę, zakasywał jej poły i rękawy i szedł... na plac zbierać z niego kamienie i gruz. Układał je na taczce, służącej pani Wyrobkowej do przewożenia drzewa z drwalni, i odwoził na kraj placu, gdzie układał w równe szychty. Słońce już było wysoko, urzędnicy szli sznurem do banku, a on uwijał się ciągle niestrudzony i ufny jak św. Franciszek, odnowiciel kościołów. — Jużcić, ta moja praca to kropla w morzu, — mawiał sam do siebie, — a jednak zrobić ją trzeba... O tyle, co zrobię, zaoszczędzę robocizny, — o jeden dzień bodaj przyśpieszę ukończenie domu...

I ożywiony tą myślą pracował dalej, nie bacząc na okrutny ból w krzyżu i mięśniach. Nakoniec wracał do domku, przebierał się, zjadał przeskromne śniadanie i ruszał na miasto kwestować. Hej! była to praca cięższa,

trudniejsza niż uprzątanie cegieł z własnego placu. Tam zdawało mu się, że każda chwila przybliża go ku upragnionemu celowi — tu zdawać się mogło, że każdy krok odeń oddala. Jakże trudno było wzruszyć serca ludzkie, uzyskać od nich najdrobniejszą bodaj ofiarę! Ile drzwi zamykało się przed nim z gniewem i niechęcią, ilu ludzi opływających w dostatki zbywało go pogardliwem słowem! Gdy wchodził do bogatych restauracyj, świątyń smakoszostwa i chyląc swą czcigodną postać ku siedzącym przy stolikach sytym bogaczom, prosił przejętym łagodnym głosem o pomoc dla biednych dzieci, w imię Chrystusa Pana, przyjaciela maleńkich, o znikomą pomoc, o jeden procent tego, co miał wynosić ich restauracyjny rachunek tego wieczoru, o setną część wartości tego, co zjedli, — gdy podchodził do próżniaczych wymalowanych kobiet siedzących w cukierniach i zaklinał, by dały bodaj cenę jednego ciastka, one, które zjadły ich tyle, — jakże rzadko uzyskiwał spełnienie tej tak skromnej napozór prośby. Ileż razy wychodził stamtąd z pustą puszką, a policzkami pałającemi od upokorzenia i wstydu, — wstydu, nie za siebie, za prawdę!

A schodziwszy w ten sposób wiele ulic, wiele pięter, nie dziw, że wracał do domu znużony do tyla, że ani mu w głowie postało przyglądać się dłużej i dziwić nieruchomości swoich lokatorów.

ROZDZIAŁ IV.

Już po raz trzeci Tomasz Radnowski rzucał w przestrzeń w kłębowisko świata, mąt ludzkich spraw, walk i poczynań żałosne wołanie o pomoc Adasia sieroty. Jak dotąd napróżno. Wśród powodzi listów kierowanych do »Wuja Toma« brakło wciąż głosu człowieka chętnego zająć się opuszczonym chłopcem. Ciężkie czasy, kryzys... Tu zaś chodziło o rzecz ważniejszą niż ofiarowanie pary znoszonych trzewików, lub ubrania, z którego dziecko wyrosło. Tu chodziło o wzięcie całkowite chłopca, obciążenie się jego losem, obarczenie odpowiedzialnością za przyszłe jego koleje. I chętna zazwyczaj, żywo reagująca na każde wezwanie rzesza rodjosłuchaczy milczała.

— Tracę już nadzieję by się coś dla tego biedaka dało wykołatać... — zwierzał się Radnowski siostrze swej Jadzi, któregoś wieczoru, gdy harcerka przyszła go odwiedzić w studjo. Siedział na zwykłem swem miejscu przed mikrofonem, sygnały świetlne po jednej stronie, telefon po drugiej, głośnik z tyłu nad drzwiami, (w tej chwili muzyka transmitowana z centrali) niby władca tajemniczego państwa dźwięków i głosów. Kręcił głową frasobliwie. Jednakże państwo jego nie było tak rozległe skoro nie znajdywał się w niem ani jeden człowiek mogący i chcący zaopiekować się opuszczonem dzieckiem.

— ...Ciężko jest pomyśleć jak to biedactwo czeka tam na odpowiedź a my mu jej dać nie możemy... ciągnął.

— Czy nie moglibyśmy my dla niego coś zrobić? zagadnęła Jadzia miętosząc w palcach koniec barwnej krajki.

— Myślałem o tem od początku... Ale jak? Nie prowadzimy właściwie domu. Każde z nas jada oddzielnie i w innych godzinach... Cały dzień nie ma nikogo w mieszkaniu. Dziecko musi mieć opiekę i unormowany bieg dnia...

— Moglibyśmy złożyć się na pewną sumę, którą płacilibyśmy komuś miesięcznie za niego.

— To byłoby możliwe, byle znaleźć kogoś odpowiednio pewnego, któremu możnaby chłopca powierzyć z całem zaufaniem, na razie nie widzę nikogo takiego. A ty?

— Ja też, ale to dlatego że się jeszcze nad tem nie myślało. Napewno znajdziemy gdy zaczniemy rozglądać się z określonym zamiarem... Jak przypuszczasz, wiele trzebaby przeznaczyć miesięcznie na ten cel?

— Sądzę, że sześćdziesiąt złotych, obliczał głośno Radnowski, — do tego co pewien czas dodatki na ubranie... Ale zasadniczo sześćdziesiąt złotych... Gdyby każde z nas złożyło się po dwadzieścia złotych, nie przyszłoby tak ciężko, co?

— Nie myślisz Tomku, że lepiej jeśli my oboje damy po trzydzieści?

— A nasza »światowa dama« nic? Dlaczego?

— Kocie nigdy nie wystarcza dla niej samej, — pożycza stale odemnie... C. d. n.



Latawce Aeroklubu krakowskiego na tle wzgórz. krak. — Fot. Aeroklub. Krak.

Aeroklub Krakowski i jego działalność

Za rogatką mogilską rozciąga się szeroko lotnisko krakowskie. Po prawej jego stronie bieleją zabudowania koszarowe i hangary 2. p. lotniczego, naprzeciw zaś widać port Aeroklubu Krakowskiego.

— — — — — — — — — — — —

Aeroklub Krakowski powstał początkowo jako Aeroklub Akademicki, w r. 1928, wzorując się na organizacji warszawskiej, i odrazu umocnił się na swym terenie. W skład budżetu Klubu wchodzą oprócz różnych subwencyj dochody z imprez i propagandy, która jest prowadzona w jak najszerszem tego słowa znaczeniu. Głównym celem Klubu jest tak teoretyczne jak praktyczne szkolenie pilotów sportowych. W tym celu prowadzi specjalne kursa. Pierwszemi aparatami, na których zaczęto szkolić pilotów, były dwa samoloty szkolne typu „Hanriot" XIV oraz 3 treningowe typu „Ansaldo" IV-300. Wkrótce aparaty i piloci wyszkoleni w młodym Klubie zaczęli brać udział w zawodach i tak pierwszą nagrodę zdobyto w Warszawie na Konkursie Awjonetek.

Rozwój Aeroklubu Krakowskiego postępował bardzo szybko dzięki doskonałej organizacji zarządu. Dziś możemy się poszczycić wieloma sukcesami, tak na polu konstrukcji, jak i techniki pilotów.

W dzisiejszych drewnianych hangarach mamy jedne z najlepszych maszyn. Oprócz starych typów, choć używanych jeszcze przy szkoleniu pilotów jak „Hanrioty", których mamy 2, znajdujemy aparaty takie, jak typu: D. K. D., — RWD — i S.

W Krakowie powstaje pierwsza w Polsce konstrukcja sportowa: Samolot Braci Działowskich (D. K. D.) na którego dalszym typie (D. K. D. 4) zdobyto właśnie nagrodę na II. Krajowym Konkursie Awjonetek. Praca ich jest tem bardziej godną uznania, że konstruowali oni w warunkach bardzo nieprzychylnych. Nie mieli oni odpowied-

nich pomieszczeń i warsztatów, ani finansów, a w dodatku zapatrywano się na ich poczynania z wielką nieufnością i rezerwą. Na konkursie wewnętrznym Aeroklubu Krakowskiego pierwszą nagrodę zdobył projekt awjonetki konstrukcji pilota J. Sidy. Projekt zrealizowano i zostały wybudowane dwa aparaty typu S-1. — i S-2. a następnie S-3. Konstrukcja p. Sidy jest jedną z najlepszych w polskiem lotnictwie sportowem, zwłaszcza jako typ maszyny szkolnej.

Wysoki stopień sprawności technicznej pilotów Aeroklubu Krakowskiego widzimy w licznych nagrodach, jakie zdobywają na różnych zawodach i zlotach, zorganizowanych bądź to przez Kluby Krajowe, bądź przez zagraniczne.

Nowością, urządzoną ostatnio przez Aeroklub Krakowski, był Rajd Sztafetowy, Lotniczo-Samochodowo - Motocyklowy na trasie: Kraków, Nowy Sącz, Nowy Targ, Zakopane, Nowy Targ. Podobne imprezy będą teraz urządzane stale. — Do Klubu przyłączyły się ostatnio dwie sekcje: Kolejowa, jako członek zbiorowy, i sekcja Studentów Akademji Górniczej. Ostatnia wzięła sobie za cel prace naukowo-badawcze w dziedzinie metaloznawstwa i wytrzymałości materjałów i konstrukcji.

Aeroklub Krakowski nie zapomniał również o lotnictwie bezsilnikowem. Wykorzystując pomyślniejsze położenie finansowe, wybudowano cztery szybowce typu C.W.J. i zaczęto szkolić pilotów szybowcowych. Celem spopularyzowania tego sportu wygłaszano na ten temat wiele odczytów i pogadanek.

Jak widzimy, Aeroklub Krakowski zdziałał wiele, lecz mógłby znacznie więcej, gdyby nie trudności finansowe. Miejmy nadzieję, że stan taki długo nie potrwa.

Dziś z radością obserwujemy, jak na szmaragdowem lotnisku startują nasze aparaty, stworzone wysiłkiem myśli naszych konstruktorów i prowadzone pewną, opanowaną ręką wyszkolonych przez nas pilotów i do uszu naszych dochodzą jak najpiękniejsze dźwięki, wiadomości z zawodów o zwycięstwach. Potrzeba nam tylko zrozumienia i umiłowania naszej idei przez społeczeństwo, szczególnie to młode i silne, z pośród którego mogą powstać nowe kadry pilotów i konstruktorów. I musimy dążyć wszystkiemi siłami do tego, by każdy z naszych pilotów czy konstruktorów był drugim Żwirką, lub Wigurą...!

Adzia Krügerówna ucz. kl. VI g.



Polskie sportsmenki

Była dziewczynka z góralskiej zagrody.
Była dziewczynka z Parku Krakowskiego.
Była dziewczynka z sali Sokoła.

Pierwsza jeździ na nartach. Z dnia na dzień zdobywa więcej pierwszych miejsc, jaśniej uśmiecha się do czarnych przecinków nart, które stworzyły nowe, łatwiejsze życie dla biednej góralskiej dziewczyny.

Druga gra w tennis. Mała „dziewczynka od piłek". Może tylko trochę zgrabniejsza od tej grubej i może trochę bardziej szare, nieustępliwe ma oczy. Kiedy odeszli niecierpliwiący się „goście" po skwarnem, niemrawem południu, na pustych kortach wystukuje drewnianą rakietą nowe, nieznane jeszcze uderzenia. Wkuwa zagmatwane prawidła białego sportu. Potrafiła zdobyć los silnem, celnem uderzeniem. Wkońcu zdobyła mistrzostwo Londynu. Triumf! Polka!

Trzecia była na Olimpjadzie. Amerykanie pragnęli zwycięstwa swej rodaczki. Pod ciężarem ich wzroku zabiło nerwowo dziewiętnastoletnie serce. Nie powiodło się. Dzielna — nie zniechęciła się. Już teraz w Budapeszcie zdobywa pierwsze miejsce w rzucie kulą oburącz.

Mistrzyni Staszel-Polankówna, Jędrzejowska, olimpijka Wejsówna.

Trzy Polki. Trzy zwycięstwa.

Pierwszem zwycięstwem dla Ciebie niech będzie zdobycie Państwowej Odznaki Sportowej.

Andrzej Kański VI kl. gimn. im. Sobieskiego.

Moje nieromantyczne przygody



Była właśnie wtedy Wielkanoc. Taka jeszcze z resztkami śniegu i wiosennemi paltami. Moja „od serca" zaprosiła mnie (rzadko się jeszcze tacy dobrzy ludzie trafiają) do majątku swych rodziców leżącego pod Ojcowem. Z takich zaproszeń oczywiście zawsze się korzysta, więc pewnego pięknego poranku ruszyłyśmy w drogę, uwożąc w walizkach resztki świąt, w postaci placków. Przez drogę, aby dodać temperamentu rumakom, operowe nasze głosiki wykrzykiwały im nad uchem arję o „koniczkach" w guście „Przez wodę koniczki, przez wodę" i „Rży koniczek mój bułany". Rżąc więc z irytacji, „koniczki" gnały przez wodę, aby właścicielki miłego głosu odstawić na miejsce.



Pierwsze dni pobytu w Młynniku (tak się ów majątek nazywa) spędziłyśmy na oglądaniu fauny swojskiej i zjadaniu owych mazurków i nugatów, w które nas troskliwie familja zaopatrzyła. Kiedy jednak na dnie tuzina pudełek pozostały tragiczne okruchy, postanowiłyśmy wybrać się na wycieczkę w celu poszukiwania przygód. Po włożeniu niesłychanej ilości swetrów i kamizeleczek, po tysiącznych zapewnieniach, że nie złamiemy sobie żadnej nogi ani szyi, pożegnałyśmy „opiekę" (siostrę mojej przyjaciółki Marysi, przemiłą istotę) i ruszyłyśmy w drogę. Urok wsi polskiej dał się aż nadto odczuć w postaci błota, które pokrywało drogę. Raz wraz któraś z nas, usiłując z wdziękiem polnego konika przeskoczyć kałużę, z trudem wyciągała śniegowce, które po takiej przymusowej kąpieli nic a nic nie przypominały śniegowców. Brnąc w czekoladowej masie (szkoda, że tylko w przenośni) rozmyślałyśmy, jakto przydałby się błędny rycerz, który swoim własnym samochodem odwiózłby nas do celu. Ale błędni rycerze, obawiając się kataru, siedzieli w swoich zamkach i wieżycach, a dwie samotne i umorusane księżniczki wyciągały się nawzajem z błota.

Wreszcie, kiedy już zupełnie straciłyśmy nadzieję spotkania legendarnego rycerza, przed oczyma naszemi zamajaczyła wśród drzew skała, zwana „Maczugą Herkulesa" i baszta zamku w Pieskowej Skale, cel naszej podróży. Chwila jeszcze i z za drzew wyłoniła się baszta narożna z murem obronnym i małemi wieżyczkami maurytańskiemi. Stałyśmy teraz naprzeciw bramy wjazdowej, nad którą kamienna tablica głosi pokrótce dzieje zamku, powstałego już za czasów Leszka Białego. Zabrałyśmy się zaraz do fotografowania bramy i murów (fot. I i III). Słońce anemiczne i blade, ujrzawszy, że nastawiamy aparaty, momentalnie schowało się za chmury. Czekałyśmy chwilę, aż raczy się pokazać, a ponieważ ani rusz nie chciało tego uczynić, więc „na złość" sfotografowałyśmy. (Dla wtajemniczonych w arkana wiedzy fotograficznej podaję tutaj, że musiałyśmy zdejmować: 1-o bez statywu, 2-o na czas, 3-o nie mając zielonego pojęcia, na jak długo naświetlać). Na chybił trafił „pstryknęłam". I udało się! A słońce „na złość" znów wystawiło koniec nosa. Pełne druzgocącej pogardy dla niewdzięcznego boga Heljosa przeszłyśmy bramę i znalazłyśmy się na dziedzińcu t. zw. nowego zamku.



Odfotografowawszy fragment dziedzińca ze smętnym stożkiem błota na środku (fot. II), przeszłyśmy przez ostrołukową bramę mieszczącą w sobie posąg Niepokalanego Poczęcia i stałyśmy teraz na dziedzińcu nowego zamku. Na lewo znajduje się tam wieża, zwana zegarową, aczkolwiek niema tam teraz zegara. Na ścianach zamku w kilku miejscach zauważyć można litery S. M. w wieńcach dębowych. Są to inicjały Stan. hr. Mieroszewskiego, byłego właściciela Pieskowej Skały.

Otworzyłyśmy drzwi, pragnąc dostać się do wnętrza i w tej chwili nienaoliwione zawiasy pisnęły tak przeraźliwie, że chwycił nas chwilowy paraliż szczęk i był to bodajże jedyny moment w całej naszej wyprawie, kiedy zamilkłyśmy. W mrocznej sieni spróbowałam „leciutko" otrząsnąć błoto i śnieg z kaloszy. Jednak owo „leciutkie" otrząśnięcie odbijało się w pustym zamku, jak huk działowy. Wszedłszy do połowy piętra, zatrzymałyśmy się, by podziwiać dwóch rycerzy wykutych w ciemnym marmurze, a przedstawiających Szafrańców, dawnych panów tegoż zamku. „Jaka szkoda, że tylko z marmuru", westchnęłyśmy w głębi serc. Po lewej stronie schodów widniał napis po francusku, złożony z gotyckich liter. Pomimo, że pierwszą klasę „gruntowałam", dopiero po ćwierćgodzinnym namyśle odcyfrowałyśmy ów tajemniczy napis, który tu zamieszczam: On a beau sa maison bâti; si le Seigneur n'ys met la main, on ne peut que bâtir en vain". Spełniwszy to nad wyraz trudne zadanie, poczęłyśmy obchodzić korytarze, oglądając przytem zamknięte drzwi do kaplicy i sali balowej. Ponieważ zaś

błędny rycerz, zbyt ceniąc swą osobę, ani rusz nie chciał się pokazać, więc opuściłyśmy niegościnny zamek. Do domu postanowiłyśmy wrócić przez las, by obejrzeć grób powstańców. Było już dosyć późno, więc puściłyśmy się stylem Walasiewiczówny do grodu. Tu z wdziękiem oparłam się o drzewo, (które potem, jak twierdzą złośliwi, wygięło się w drugą stronę). W domu spotkałyśmy się z lekkiemi wymówkami „opieki". Najgorsze było potem, kiedy ujrzała nas, względnie nasze śniegowce — służąca Hania, a ponieważ było południe, więc zabrała się do czyszczenia owych nieszczęsnych kaloszy, by być z niemi gotową na wieczór.

I tak z romantycznej wycieczki pozostał jeno nigdy nie dający się zmyć szary kolor śniegowców i parę filmów w aparacie.

Hanka Sieczkowska, kl. V a.

MUZYKA KRAKOWSKA

Czy Kraków ma tradycję muzyczną?

Już zacny Marcin Bielski w kronice swojej zauważa, że sam kształt miasta dowodzi jego muzykalności.

„Gdy się na miasto Kraków z góry zwierzynieckiej pożrzy, jest coś podobne do lutniej okrągłością swą, a Grodzka ulica z zamkiem jest jako szyja u lutnie właśnie". – Nie dziw więc, że w tak muzykalnym grodzie młodziutkie królowe lubowały się w pieśniach i otaczały wieńcem śpiewaków i grajków cum sambucis, tympanis et fialis.

Z produkcyj muzycznych zachowały się nam zrazu skromne melodje opiewające narodziny Jagiełłowych synów, potem hymny kościelne i świeckie — w XVI wieku wsławia się imć. pan organista krakowski — Mikołaj — pieśnią: „Wesel się Polska Korona" i muzyką taneczną.

Zygmunt Stary stwarza podwalinę dla kultury polifonicznej muzyki religijnej, fundując w 1543 r. Kapelę Rorantystów przy kaplicy Zygmuntowskiej.

W Krakowie komponuje też Wacław Szamotulski mszę, lamentacje, motety, psalmy i pieśni. Tu wreszcie Mikołaj Gomółka z dworskiej kapeli, tworzy „Melodyje na psałterz polski" do słów J. Kochanowskiego, jedno z najpiękniejszych dzieł religijnej muzyki staropolskiej.

Po nim ks. Gorczycki, kapelmistrz w katedrze wawelskiej, daje szereg utworów religijnych.

W drugiej połowie XIX w. największym kompozytorem krakowskim jest Władysław Żeleński ur. w r. 1837, um. w r. 1921, dyrektor konserwatorjum w Krakowie. Twórczość Żeleńskiego odznacza się imponującą wszechstronnością. Pisał on utwory kameralne, orkiestralne, pieśni i opery. Z żyjących kompozytorów do starszej generacji zaliczyć można Stanisława Bursę, oraz Michała Świerzyńskiego, będącego obecnie w Poznaniu; do średniej Bolesława Wallek-Walewskiego, Lipskiego, Dymmka, Garbusińskiego, Gablenza i przebywającego przez pewien czas w Krakowie O. Rizzi'ego. Z młodych — przedstawicielami kierunku radykalniejszego jest Malawski i Poźniak. Oprócz tych przygodnie komponuje szereg starszych i młodszych muzyków. Ruch muzyczny koncentruje się w Towarzystwie Muzycznem (dyrektor artystyczny Walewski), w „Związku chórów archidiecezji krakowskiej" (prezes ks. Wargowski) w „Towarzystwie oratoryjnem"(dyrygent Barański) i w chórze „Echo" (dyrygent Walewski). W ostatnich wreszcie latach powstało żydowskie Towarzystwo Muzyczne oraz „Stowarzyszenie młodych muzyków", którego prezesem jest prof. Skołyszewski. Na uniwersytecie Jagiellońskim jest katedra muzykologji, którą prowadzi prof. Jachimecki (docent dr. Reiss, asystent dr. Poźniak). Szkoły muzyczne, to konserwatorjum T. M. (dyrektor Piotrowski) oraz szereg mniejszych uczelni ze szkołą imienia Żeleńskiego (dyrektor Krzyształowicz) na czele.

Młodzież krakowska ma możność zapoznawania się z muzyką polską i obcą na urządzanych co miesiąc koncertach szkolnych w Domu katolickim. – Ostatni — marcowy — poświęcony muzyce czeskiej (głównie Dworzaka i Smetany) obudził ogromny entuzjazm.

Najbliższy kwietniowy ma być ilustracją muzyki religijnej polskiej.

Marychna Poźniakówna
ucz. kl. VI.

KRAKOWSKI OGRÓD BOTANICZNY

Kraków, miasto starych uniwersyteckich tradycji również i pod względem przyrodniczym zajmuje wybitne stanowisko, tu bowiem z początkiem XVII w. powstaje myśl założenia pierwszego w Polsce ogrodu botanicznego. Projekt ten dochodzi do realizacji za Stanisława Augusta, który przeznaczył na ten cel kilkomorgowy ogród pojezuicki przy ul. Wesołej (dziś Kopernika). Pierwszy dyrektor ogrodu otrzymał zaniedbany kawał gruntu i odtąd zaczęła się mrówcza praca kilku pokoleń nad rozwojem i utrzymaniem ogrodu.

Ogród botaniczny... to nie muzeum pełne czysto naukowych, zakurzonych zbiorów — ale to rzecz żywa i piękna i bardzo ciekawa .. każdy, bez względu na zainteresowanie, znajdzie tu jakiś dział godny uwagi, a przychodząc częściej, może nawiązać bliski, serdeczny kontakt z żywą przyrodą – czy to z rozłożystemi, staremi drzewami, czy z trzciną i liljami wodnemi na stawku, w którym koncertują żaby, czy — z egzotycznemi palmami; kaktusami, papirusem, victoria regia i t. d. i t. d. w cieplarniach. Wszystko rośnie, zieleni się, kwitnie w setkach odcieni barw i kształtów, w harmonji formy...

M. A.

Tandeta — czytaj: Magasin de nouveautés

Przy ulicy Dajwór jest placyk malowniczo położony, wieczyście błotnisty, rozbrzmiewający we wtorki i piątki »różnojęzycznym« gwarem i zawalony w te dnie masą przeróżnych gratów i szpargałów pod znakiem »używane«. Jest to tak zwana pospolicie »tandeta« — arcyciekawe miejsce o specyficznych własnościach, gdzie człowiek, który nie posiada nic, może jeszcze coś sprzedać i zostać przytem z czegoś jeszcze okradzionym, z tem, że w następny dzień targowy na tejże tandecie rzeczy te zostaną zaofiarowane po zniżonej cenie. Można tu nabyć kompletne urządzenie pokoju — z najdrobniejszemi szczegółami, nie mówiąc już o wszechstronnej bibljotece i artystycznych obrazach, można się ubrać od stóp do głów za minimalną opłatą, można wreszcie nabyć każdą rzecz, o jakiej się zamarzy od serwisu stołowego począwszy, a skończywszy na swoim własnym, przed chwilą ukradzionym ci zegarku, który ci proponują w zamięszaniu. Mnie na wstępie jakiś oberwany wyrostek (widocznie zapoznany, a głęboki znawca serc ludzkich) zaofiarował »Eliksir miłości za jedne 20 groszy« — odmówiłam kupienia, choć dziś tego żałuję — taka okazja »za jedne dwadzieścia groszy«? — a nużby poskutkowało?... Człowiek, który tu nic nie kupuje, a przychodzi tylko dla obserwacji znajdzie całą galerję typów. Począwszy od »uczciwie handlujących starozakonnych«, którzy tkwią przy stołach i straganach ze starem obuwiem i używaną garderobą, aż do wcale »niehandlowo wyglądających osobników o nieokreślonej przynależności rasowej i gatunkowej, których to masa się kręci bez celu. Zastanawiałam się nad tem, poco ci ludzie właściwie tu wychodzą. Naprzykład ten wysoki drab z wykręconem okiem i fizjognomją »hochstaplera« na wielką skalę — elegancko i modnie ubrany, napewno że przyszedł u poto, aby oglądać używaną konfekcję męską. Jego wygląd pasuje tu tylko do jednego miejsca: oto stół, na którym lśnią w słońcu wbite w kilka rzędów w blat noże. Może ktoś to weźmie za przesadę — niech więc sam się uda w najbliższy wtorek czy piątek na tandetę, a napewno spotka niejeden yp w tym właśnie stylu. Tamten niski o małym zaroście i chytrej semickiej twarzy, w wysokich butach, i kaszkiecie nasuniętym na czoło też nie wzbudza zbytniej ufności. Takich typów możnaby wyliczyć wiele, zresztą trudno powiedzieć, że »publiczność« tandety składa się z samych »ciemnych i podejrzanych typów«. Oto na dowód tego taki sielski obrazek: na niskim stołeczku siedzi stara żydówka w wypłowiałej, zlekka zbakierowanej peruce. Splotła krótkie, grube ręce na obfitem łonie, na twarzy jej widnieje wyraz błogiego zadowolenia. Na kramie obok, z rozdziawionej błękitnej tuby jakiegoś przedpotopowej konstrukcji gramofonu wydobywają się rozdzierające i tkliwe dźwięki: »Pamiętam twoje oczy dzikie«... »Panie!« — woła ktoś opodal do starego żyda, który rozparł się za stołem zawalonym wszelkiego rodzaju ubraniami. »Pan jesteś ostatni oszust i złodziej — Pan mi mówi za taki zniszczony, wytargany surdut 12 złotych? To nie jest warte więcej, niż 5 złotych!« — Oj, co znaczy 5 złotych? To nie jest surdut, to






nie jest warte więcej, niż 5 złotych!« — Oj, co znaczy 5 złotych? To nie jest surdut, to jest złoto — żebym tak zdrów był jak taki towar nie istnieje u kogo innego za ten pieniądz. Ja sam na tem tracę. Jak Boga kocham — sam dałem za niego 14 złotych! Ja tylko dla pana taką cenę... Ostatnie moje słowo 12 złotych!...« »Panie! wróć się pan! — Niech będzie — ja już ustąpię. 7 złotych. Nie? No, to 6 złotych. Jak Boga kocham — na moje sumienie, że ja tracę na tem. Panie! Panie! wróć się Pan!« Gramofon ryczy: »pozwól mi znowu wierzyć, raz jeszcze przeżyć...« Opodal spaceruje handlarz kapeluszy. Dla uproszczenia manipulacyj ubił sobie jeden na drugim — prawie tuzin kapeluszy na głowę. Wygląda to jak jakaś przedziwna tiara. Za nim dwunastoletni wyrostek żongluje dwiema tacami pełnemi »czekoladek odświeżających za jedne 5 groszy«. Przy jednym ze straganów jakaś poczciwa kobiecina targuje statuetkę pomalowaną na efektowne kolory, przedstawiającą jakąś sielankową scenę. Ludzie tłoczą się przy kramach, kłócą się, chodzą po grzęskiem, głębokiem błocie. Tak się przedstawia tandeta, czyli wycinek z wielkiego filmu, który nazywa się »Życie«.

H. Łuczyńska.

ORGANIZACJE MŁODZIEŻY WIEJSKIEJ Z OKOLIC KRAKOWA

Widząc dziewczęta wiejskie w mieście z bańkami z mlekiem, z koszykami z produktami wiejskiemi na plecach, niktby nie przypuszczał, że między niemi są prezeski, sekretarki, skarbniczki lub bibljotekarki ze Związku Młodych Polek. — W bieżącym miesiącu byłam właśnie na takiem zebraniu i bardzo mi się tam podobało. – Dziewczęta pod przewodnictwem dziedziczki poważnie obradują nad ulepszeniem uprawy buraków, kukurydzy, nad podniesieniem hodowli kur, królików. Za otrzymane nagrody za wystawione exponaty zakupiły książki do bibljoteki, która dziś przedstawia wartość ponad 200 zł. Dziewczęta należące do związku czytają odpowiednie dla siebie książki treści obyczajowej, gospodarczej i historycznej. Prócz tego zajmują się naprawą bielizny kościelnej, śpiewem na chórze w kościele, urządzają wycieczki jak np. w tym roku mają w planie wycieczkę do Wieliczki. Co roku kilka bierze udział w zamkniętych rekolekcjach w Trzebini. Widzimy więc, że gdyby w każdej wsi organizowane były takie związki, „Wieś polska" podniosłaby się pod względem moralnym, kulturalnym i materjalnym.

Zofja Kańska, ucz. IV kl. g.

LASEK WOLSKI

Gdy się ma kilka godzin wolnych — ot, sobota popołudniu (ale miłośnikom samotności nie radzę wtedy jechać) — siada się do autobusu na Salwatorze (odchodzi co 20 minut — o ile nie było przygody) i jazda szosą równolegle z brzegiem Wisły. Za kilka minut (i za 70 groszy) wyłaź człeku i już własne nogi niosą pod małą górkę w bukowy (a właściwie „mieszany") lasek. — Zieleń, — zieleń! Drogi krzyżują się w różnych kierunkach... gdzieś, przy polanie z ładnym, dalekim widokiem stoi kiosk... cukierki (w papierkach, higjeniczne) i krajowe wody (źródlana i sodowa — wprawdzie nie solona, ale o słonej cenie). O ile ktoś wskutek zbyt długiej urbanizacji protoplastów nie zatracił jeszcze węchu, może, kierując się tym zmysłem, dojść do zwierzyńca... Osiołek spaceruje po polance, śliczne wilki i misie wyciągają kudłate mordy i łapy, „dzika" świnia odbywa tradycyjną w familji kąpiel w kałuży, paw drze się fałszywym głosem, „pachną" lisy, borsuki, wiewiórki... przeciera rogi jeleń... — a w klatkach sowy, jastrzębie, sokoły... Osoby, miłujące Indjan, zaopatrują się u bramy w pęk piór (za 50 gr. — przeznaczenie dowolne) a potem, szkoda floty na autobus, więc powrót pieszo via Sikornik — Salwator... znów miasto — och!

I. M.

TREŚĆ N-RU 8:

WARUNKI PRENUMERATY: ROCZNIE 8 ZŁ.
Numer niniejszy, powiększony 1 zł
Konto P. K. O.: „Dziś i Jutro", Nr. 404.930.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.
Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11.
Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.